Łódź
Andrzeja 14
M. B. P. I

Stron 8 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem Cena 25 zł.

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE
J. K. MACIEJEWSKI — Wesele współczesnego Boryny
St. TREUGUTT — Goethe a Niemcy dzisiejsze
St. MARCZAK-OBORSKI — Wieś Janków Muzykantów
S. ARNOLD — Lenin i partia
M. OSTROWSKI — Jak hartowała się stal
L. SOBIERAJSKI — Lipce Reymontowskie
Fr. HALAS — Wiersze

Rok VI Warszawa, dn. 13 listopada 1949 r. Nr 46 (225)

Redakcja „WSI" ogłasza

KONKURS na REPORTAŻ

Wieś nasza znajduje się dzisiaj w okresie wielkiego przełomu. Zachodzą w jej życiu gospodarczym, społecznym i kulturalnym głębokie przemiany. Przemiany te dokonują się z trudem, bo w ciężkiej walce klasowej. Drobno i średniorolne chłopstwo w dążeniu do uspołecznionej gospodarki (spółdzielnie „Samopomoc Chłopska", ośrodki maszynowe, grupy plantatorów i hodowców), **w parciu do oświaty i kultury** (około czterech tysięcy świetlic Z.S.Ch., zespoły amatorskie, samokształceniowe, 20.000 punktów bibliotecznych, wzrost zainteresowania prasą i książką, około 750 szkół rolniczych, około 100 gimnazjów chłopskich, 44 uniwersytety ludowe, podnoszący się z roku na rok procent młodzieży chłopskiej obok robotniczej w szkolnictwie średnim i wyższym), **w swoich próbach tworzenia lepszych, racjonalniejszych form gospodarowania** (pierwsze w tym roku spółdzielnie produkcyjne) — **natrafia w swoich wysiłkach przebudowy ustroju na duże opory ze strony kapitalistycznych elementów wczorajszej wsi.**

Ustrój kapitalistyczny utrwalił na wsi autorytet bogacza wiejskiego, ten autorytet potwierdziła i literatura burżuazyjna.

Dzisiaj jeszcze grupa bogatych chłopów, posługując się nimbem dawniej narzuconego biedocie wiejskiej autorytetu — stara się paraliżować wiele akcji gospodarczych czy kulturalnych, jakie dla ogólnej poprawy bytu wsi podejmują podstawowe masy chłopskie, znajdujące pełną pomoc i poparcie Państwa Ludowego.

Spółdzielczość w jej różnych formach, wzrost oświaty i podnoszenie się kultury na wsi, to szansa szybkiej likwidacji źródeł resztek kapitalistycznego wyzysku, który bogacze wiejscy stosowali i stosują jeszcze wobec drobno i średniorolnych mas chłopskich. Element kułacki, w oparciu o reakcyjną część kleru, prowadzi dzisiaj zażartą walkę o zatrzymanie tych procesów. Wystarczy przypomnieć niechętny stosunek niektórych wiejskich „plebanów" nawet do akcji likwidowania analfabetyzmu na wsi, wystarczy przypomnieć narzucanie opinii wiejskiej właśnie przez bogaczy i właśnie przez plebanię niechętnych ocen o książkach naszych postępowych pisarzy chłopskich, wystarczy wreszcie przypomnieć, że nawet teatr objazdowy „Artos"-u, przyjmowany na ogół z życzliwością i dużym zainteresowaniem przez wieś, natrafiał i na zdecydowaną niechęć chłopów, tam gdzie kułak jeszcze formował społeczną opinię.

PISARZE!

Stoicie dziś wobec zadania nie tylko literackiego zapisu, dokonujących się na wsi przemian, stoicie również wobec zadania pisarskiej pomocy dla mas chłopskich, które w ciężkiej walce budują na swoim odcinku nowy ustrój, znajdując oparcie i pomoc w klasie robotniczej. Wasze pisarstwo powinno pokazywać drobnemu i średniorolnym chłopom ich wroga klasowego, winno stworzyć w literaturze nowe wzory społeczne — działacza wiejskiego, winno za temat swojej twórczości wziąć te wszystkie instytucje, które dzisiaj na wsi powoli i z trudem przekształcają i formy gospodarowania, i świadomość społeczną i kulturalną podstawowych mas chłopskich.

Redakcja Tygodnika Społeczno-Literackiego „Wieś" apeluje zatem do wszystkich pisarzy: członków Związku Zawodowego Literatów Polskich, do pisarzy również, którzy dopiero próbują swojego pióra, zwraca się także do działaczy społecznych, oświatowych i kulturalnych tak chłopskich jak i robotniczych — o wzięcie udziału w Konkursie na reportaż o wsi.

Reportaże na konkurs, wyspecyfikowane tematycznie, winny przedstawić najistotniejsze zagadnienia wsi. W swoich najwybitniejszych pozycjach dadzą one książkę, która będzie obrazem dzisiejszej wsi — **oto założenie konkursu.**

Nagrody:

I nagroda (Ministerstwo Kultury i Sztuki)	**250.000 zł.**
II nagroda (Ministerstwo Rolnictwa)	**150.000 „**
III nagroda (Centrala Rolnicza Spółdzielni „Samopomoc Chłopska")	**100.000 „**
3 następne nagrody po 50.000,— zł. (Zarząd Gł. Zw. Samopomocy Chłopskie)	**150.000 „**
2 następne „ „ 50.000,— zł. (Ministerstwo Oświaty)	**100.000 „**
2 następne „ „ 50.000,— zł. (Ministerstwo Lasów)	**100.000 „**
2 następne „ „ 50.000,— zł. (Ministerstwo Poczt i Telegrafów)	**100.000 „**

Nagroda Z.S.Ch. zostanie przyznana za prace, które nawet przy mniejszych walorach literackich, wyróżnią się szczególnie klasowo słusznym ujęciem zagadnień dzisiejszej wsi.

Nagroda Ministerstwa Oświaty — za najlepsze prace, nadesłane przez pisarzy — nauczycieli wiejskich (prosimy autorów nauczycieli o zaznaczenie przy godle lit. N.).

Tematy reportaży:

1) **spółdzielnia produkcyjna**
2) **Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska"**
3) **Koło gromadzkie—komórka podstawowa Związku Samopomocy Chłopskiej**
4) **Ośrodek maszynowy**
5) **Ośrodek zdrowia**
6) **grupy plantatorów i hodowców**
7) **Państwowe Gospodarstwa Rolne**
8) **Współzawodnictwo pracy**
9) **świetlica na wsi**
10) **likwidacja analfabetyzmu**
11) **czytelnictwo na wsi**
12) **zespół samokształceniowy**
13) **zespół amatorski**
14) **twórczość ludowa**
15) **poczta na wsi**
16) **kobieta wiejska dziś**
17) **opieka nad dzieckiem wiejskim**
18) **awans młodzieży chłopskiej:**
    a) **ze względu na możliwości wewnętrzne wsi,**
    b) **do miast (studia, zawody, przemysł)**
19) **działalność organizacji politycznych i społecznych: P.Z.P.R., S.L., Z.S.Ch., Z.M.P.**
20) **sport na wsi**
21) **chłopski czyn na zjednoczenie ruchu ludowego (27 listopada 1949 r.)**
22) **ruch łączności wsi i miasta**

Warunki konkursu:

Reportaż, zaopatrzony godłem, winien być nadesłany Redakcji Tygodnika „Wieś" (Warszawa, pl. Starynkiewicza 7) w nieprzekraczalnym terminie **do dnia 31 grudnia 1949 r.**

W osobnej zamkniętej kopercie, zaopatrzonej na zewnątrz godłem, należy umieścić nazwisko i adres autora (niepublikujący dotychczas autorzy winni załączyć życiorys).

Reportaż nie powinien przekraczać 16 stron maszynopisu z interlinią.

Reportaż w miarę możności winien być uzupełniony materiałem fotograficznym lub graficznym (zdjęcia, rysunki) z opisywanej wsi.

Redakcja Tygodnika „Wieś" zastrzega sobie prawo pierwszeństwa druku nagrodzonych prac.

Wyniki Konkursu zostaną ogłoszone w numerze tygodnika „Wieś" z dnia 19 lutego 1950 r.

Nagrody będą rozdane dnia 18.II.1950 r.

Skład Jury:

1) Marszałek Sejmu — **Władysław Kowalski**
2) Autor „Stare i Nowe" — **Lucjan Rudnicki**
3) Z ramienia Min. Kultury i Sztuki — **Jan Wilczek**
4) Z ramienia Min. Oświaty — **Władysław Ozga**
5) Z ramienia Min. Rolnictwa — **Piotr Greniuk**
6) Z ramienia Instytutu Badań Literackich — **Stefan Żółkiewski**
7) Z ramienia Związku Zawodowego Literatów Polskich — **Anna Kamieńska-Śpiewakowa**
8) Z ramienia Polskiego Radia — **Romuald Gadomski**
9) Z ramienia Zarządu Gł. Związku Samopomocy Chłopskiej — **Stefan Ignar, Bodalski Mieczysław, Wacław Schayer, Franciszek Jaszczuk**
10) Z ramienia Redakcji „Wsi" **Jan Aleksander Król, Leonard Sobierajski, Maria Żmigrodzka, Wiesław Jażdżyński**

Apel do wsi:

CHŁOPI!

Gdy w listopadzie i grudniu znajdą się u Was pisarze, rozmawiajcie z nimi z pełną ufnością, starajcie się odkryć im to wszystko, co Was nurtuje, przedstawcie osiągnięcia, radźcie o usunięciu trudności, zwierzajcie swoje projekty lepszego zorganizowania życia w dzisiejszym ustroju.

Redakcja Tygodnika społeczno-literackiego „Wieś" zwraca się z prośbą do organizacji politycznych i społecznych o udzielenie wszelkiej pomocy pisarzom, którzy w miesiącu listopadzie i grudniu znajdą się na wsi dla zebrania materiałów do reportaży.

Zespół Redakcyjny Tygodnika „Wieś"

Obraz Leokadii Kosieniak „Klub „Wieś Tworząca" w Zalipiu składa dar Prezydentowi R. P."

LEOKADIA KOSIENIAK

MÓJ ŻYCIORYS MÓWI O USTROJU

Mówi się dość dużo o sztuce ludowej, nie zawsze z sensem. Spotykałam się w czasopismach z artykułami i reprodukcjami omawiającymi twórczość rodzimej mojej okolicy a nawet moją własną, z wielkim i rzekomym znawstwem.

Żaden jednak artysta ludowy nie wyrzekł swego słowa. Oczywiście, że wielu z nich bardzo słabo włada piórem, nie mówiąc o sporym procencie analfabetów, ale prawdą jest również, że nikt im tego nie zaproponował. Mam wrażenie, że naukowcy starej daty niechętnie widzieliby usamodzielnianie się twórczości ludowych i chcą mieć swego rodzaju monopol na wszelką mądrość w tym zakresie. A tu są sprawy pilne, które ci opiekunowie nasi przeoczają. Niech głos mój przerwie to milczenie, gdyż wieś powoli zaczyna świadomie tworzyć, w miarę jak dopływ książek i czasopism do świetlic wiejskich zaczyna budzić myślenie oraz świadomość klasową. Z chwilą likwidacji analfabetyzmu nawet najstarsi artyści wiejscy wezmą udział świadomy w nowym życiu, na które składa się również kultura ludowa, a więc ich twórczość artystyczna.

Jestem dziewczyną wiejską o poziomie kulturalnym takim, jaki wyznacza to ukończenie szkoły powszechnej za okupacji. W dawnych warunkach ustrojowych przeznaczeniem moim byłby spadek do powrotnego analfabetyzmu i praca na roli, według utartych, przedpotopowych metod i tradycji. Że się stało inaczej, jest to prawie cudem, ale że nie było w tym cudu, należy wszystko opisać, bo to najdziwniejsze. A więc podaję swój życiorys:

Jestem młoda, mam dopiero szesnaście lat. Od pierwszych chwili życia obcowałam ze sztuką ludową, bo chyba mało na świecie jest miejscowości bardziej uartystycznionych, niż wieś Zalipie, w powiecie Dąbrowa Tarnowska. Tam, za naszych babek, narodziło się ludowe malarstwo ścienne, które rozsławiło Zalipie po całej Polsce, często mieliśmy i mamy tu gości z zagranicy. Nie tylko wnętrza izb, ale zewnętrzne ściany budynków mieszkalnych i gospodarczych zdobią tu kobiety w przeróżne wzory barwne.

Od najwcześniejszych chwil życia otaczały mnie kwiaty, malowane na ścianach, piecach, acha nawet suficie. Gdy sięgnę do najdalszych wspomnień, majaczy surowa twarz jakiegoś świętego, namalowanego przez matkę na zwykłym papierze pakowym pędzlikiem z krówskiego ogona. Obrazy świętych malowane przez matkę nie były podobne do oleodruków, choć były ich naśladownictwem, gdyż pozbawione były słodkiego rozmodlenia i ckliwej piękności oblicza. Były twarde jak chłopska dola; tylko zestawienie barw i powódź kwiatów ożywiały obraz i nadawały dość ponurym malowidłom radosny nastrój wiary w zwycięstwo radości życia.

Mając lat siedem pojęłam tajemnicę matki i zaczęłam pomagać jej w malowaniu ścian, jak również zaczęłam malować pierwsze nieudolne „makatki" papierowe, a nawet „dywany" — duże arkusze lub dwuarkuszowe malowidła, umieszczane nad łóżkiem. Nasza wieś nie leży wzdłuż ulicy, domy tu są rozrzucone, kobiety mniej poświęcając czasu plotkom, znajdowały upodobanie w malarstwie. Oczywiście dużą rolę odgrywała ambicja, rywalizacja, ale prawdziwym źródłem tej twórczości było upodobanie piękna, nawyk do mieszkania w izbach, które były dalszym ciągiem kwietnego kobierca pól i łąk. Oczywiście, każda z nas czuła, że co innego natura, a co innego dzieło. Nie naśladowano kwiatów, ale tworzono [illegible] barwni, starano się [illegible] różnych bieństw. Dobra artystka robiła kwiat kombinowany, dbając o sposób jego namalowania, to jest ładne urozmaicenie barw, a często i tematu, przez umieszczenie zwierząt, ptaków lub ludzi w środku jak gdyby altany kwietnej.

Oprócz malowideł na ścianie i papierze, tworzono tu od dawna wycinanki, ozdoby z szyszek i fasoli, wreszcie uprawiano haft, potrzebny do zdobienia stroju ludowego, w który do tej chwili duża część ludności ubiera się odświętnie.

Podczas okupacji pomimo tysiąca nowych zmartwień i dodatkowych prac, malarstwo ludowe nie zanikło. Zbyt mocno odczuwaliśmy potrzebę pokrzepienia i rozpędzenia zmory hitlerowskiego terroru. Śmiesznie wyglądał gestapowiec na tle malowanych jak kaplice izb i pewno zdawał sobie sprawę, że stanowi tu obcy i wrogi szczegół. Oczywiście, że to nie rozbawiało go ale denerwowało, gdyż nie pozostawiało złudzeń co do polskości i kultury tej ziemi. Przyszło wyzwolenie. W czasie zwykłych porządków wiosennych kobiety malowały tym razem nie tylko izby ale i obejścia gospodarskie. Nawet zdobione kurniki i psie budy opowiadały o triumfie ładu i twórczego piękna. Dla mnie wyzwolenie Polski stanowiło duże przeżycie. Poczułam, że świat się zmienił, że coś oczekiwanego ale bardzo dotychczas mglistego zaczyna wchodzić w normalny tok życia. Zamiast troski o dobry sen, wek i odwiezienie na czas kontyngentu weszły w zakres moich zainteresowań takie odległe sprawy jak reforma rolna i odbudowa zniszczeń. Nie odrazu pojęłam szerokość wolności, obserwowałam ją przez wąską szparkę gospodarskich trosk. Wyjechałam np. na Ziemie Odzyskane aby kupić sobie potrzebne rzeczy, lecz po powrocie uświadomiłam sobie, że jestem przypisana do Polski, która jest rzeczą wielką. Uczułam również, że w twórczości wydobywać trzeba na jaw życie, bo to jest sprawą wolności, że człowiek siebie może „wyspowiadać". Dlatego też na konkurs zorganizowany przez TULRP namalowałam obok malowanek z motywami kwiatów, również inne, całkowicie inne niż malowały kobiety. Były tam już tematy takie jak: bombardowanie wsi (wrzesień 1939 r.), czasy hitlerowskiej okupacji, wejście Armii Radzieckiej.

Na konkurs, który kobiety przyjmowały z niedowierzaniem węsząc nowy podatek — za sprawą kierownika szkoły w Podlipiu ob. Jana Grabca, który miał zaufanie, wieś nasza i sąsiednie: Pilcza Zelichowska, Kłyż, Sanocice i inne, przybrały się odświętnie.

Przyjechało, wielu gości, zadziwiając całą wieś stosunkiem do nas, nadzwyczaj prostym i przyjacielskim. W konkursie na najpiękniej ozdobioną izbę, pomiędzy innymi moja matka dostała pierwszą nagrodę, oraz nagrodę za krzewienie sztuki ludowej. W konkursie na malowanki: matka, ja, a nawet młodszy brat Sławek, otrzymaliśmy pierwsze nagrody. W czasie wystawy naszych prac, która odbyła się w świetlicy wsi Podlipie, wezwał mnie jakiś znawca, podobno był to dyrektor z Warszawy i pytał dlaczego maluję w murawie takie duże kwiatki, kiedy w życiu omal ich nie widać. Odpowiedziałam zdumiona bardzo, że tak mi się lepiej podoba, ale nie byłam pewna siebie. Myślałam później: jak tu malować, kiedy chcą, żeby było tak jak się w[illegible] nie ma sensu. Co jest ład[illegible] na planie. Obraz jest w[illegible] nie aparatu a człowieka, k[illegible] ułoży obraz, powiększ[illegible] przedmioty w zal[illegible]

str. 2

MÓJ ŻYCIORYS MÓWI O USTROJU

(Dokończenie ze str. 1)

ności od ich wagi i barwności. Większość z nich należy odrzucać — inaczej wyjdzie z tego bałagan. I jeśli dziś uczę się perspektywy, to uznaję, że ludowa perspektywa, niewzrokowa ale tematyczna, w zależności od malarskości przedmiotu i jej uczuciowej czy myślowej ważności, jest równie dobra, a nawet inteligentniejsza.

Widziałam natomiast, jak studenci z Akademii Sztuk Pięknych patrząc na obraz mój wystawiony na Wystawie Sztuki i Rękodzieła Ludowego w Warszawie, przedstawiający ptaka w locie ze stodoły na dach domu, mówili: „jakie to śmieszne" — że ptak był większy od stodoły na tym samym planie. A to nie dziwactwo, tylko w tego ptaka włożyłam swą duszę, a stodoła to tylko znaczenie i powiązanie przypadkowe i określające, żeby ten ptak nie zjawiał się znikąd. A nie miałam interesu lubowania się w tej stodole, bo w niej nie widziałam artystycznego celu. Jeśli chcę powiedzieć, że ktoś trzęsie jabłka dla Prezydenta, nie pokazuję jabłek spadających w tej wielkości, ale większej; koszyk dziewczynki, która niesie te jabłka, chociaż stawiam go na plan pierwszy jest tak duży omal jak jabłka, spadające na planie dalszym. Pielgrzymi w stosunku do postaci Matki Boskiej są malutcy; ona stanowi w ich oczach cel i potęgę zdolną do ziszczenia wszystkiego; oni poddają się marzeniu o takiej proporcji. W tym widzę styl ludowy, ale nikt mnie nie zrozumie i muszę się dziś uczyć perspektywy na wzorze sześcianu, jak dziecko.

Piec malowany w Zalipiu

Któżby myślał, że po ukończeniu wystawy i rozdaniu nagród nastanie w Zalipiu spokój. Nic podobnego. Po pierwsze zrobił się szum w gazetach i zaczęli przyjeżdżać goście: byli np. panowie ze Szwajcarii i Węgier, rozdziawiali gęby, bardzo chwalili, a mnie chcieli zabrać na samochód nalem się bała, że mogę gdzie ulec katastrofie, zresztą miałam coś innego na myśli, gdyż jeden z członków jury naszego konkursu spytał mnie czy chcę się uczyć. Po drugie, przyjechał powtórnie do Zalipia ob. Pokora Leon z kolegą Janem Stelmaszczykiem, obaj z Zarządu Głównego TUL-RP i założyli Klub Twórczości i Upowszechniania Kultury „Wieś tworząca". Bardzo nam się nazwa spodobała a-my się bały, bo nikt jeszcze z kobiet nie należał do organizacji, wreszcie zapisałyśmy się wszystkie, zrobiono nam zdjęcia, bo przyrzekłyśmy zrobić po kilka malowanek i wycinanek do albumu „Malowanka Dąbrowska i jej twórcy", co też wykonałyśmy bezinteresownie. Później przesłałyśmy swoje prace na projektowaną wystawę Sztuki Ludowej w Warszawie. Ponieważ zawadzały one ob. Pokorze, musiał doprowadzić do tego, że pomimo likwidacji TUL-RP wystawa ta odbyła się w miesiącu kwietniu b. r. w gmachu Politechniki Warszawskiej. Dostaliśmy zaproszenie Związku Samopomocy Chłopskiej i przyjechaliśmy 5-ro jako delegacja, gdyż teraz nie ma tego zwyczaju, by wystawę otwierać tylko dla inteligencji miejskiej.

Miałam za swoje, gdyż na otwarcie przybyło dużo ministrów i Marszałek Sejmu Władysław Kowalski, który zatrzymał się przede mną i powiedział, że należy wysłać mnie do szkoły i to wyższej: „A jak nie załatwią tej sprawy, to pisz do mnie". Wszyscy bardzo się mną interesowali, ale Marszałek najbardziej. Przed odjazdem On i Min. Dybowski przyjęli wszystkich delegatów, twórców ludowych obiadem w hotelu sejmowym.

Minister Podedworny zgłosił już nagrodę dla artysty ludowego, biorącego udział w wystawie w postaci stałego stypendium. Jury wystawy przyznało tę nagrodę dla mnie, poza tym otrzymałam komplet farb olejnych, jako dar Związku Zawodowego Artystów Plastyków. Szczęście zaczęło mi więc dopisywać z chwilą powstania Polski Ludowej i to nie głupio, tylko bardzo mądrze, ażebym rozwinęła swój talent i przyniosła coś społeczeństwu. Ja też bardzo się zacięłam i nabrałam takiej odwagi, że chociaż rodzice nic mi nie są w stanie pomóc, przyjechałam do Warszawy i suszyłam łeb ob. Pokorze, ażeby dotrzymał swej obietnicy. Złożyłam podanie do Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, ale wszyscy się śmieli ze mnie i ja miałam słabą nadzieję zdania egzaminu. Ale cud się tam stał, bo teraz rządzi chłop i robotnik, a każdy profesor wie, że chłop odrobić ma zaniedbania i wziąć udział w tworzeniu nowej kultury polskiej.

Dziś już uczę się — i myślę, że dopędzę tych, którzy mieli matury, gdyż dużo słuchaczy lekceważy sobie profesorów i naukę, nie wie, że nauka o sztuce przestała być zabawką małej ilości bogaczy, ale stała się potrzebą mas pracujących, że jest sprawą bardzo ważną, dla której warto pracować. Gdyby tak być miało, że obrazy będą wisieć tylko w kościołach i muzeach, toby nie było może warto się dokładać do nauki, ale będzie tak jak w Zalipiu. Sztuka będzie tak potrzebna, jak chleb.

Twórczynie ludowe w naszej okolicy są zadowolone, gdyż otrzymały nagrody pieniężne i książkowe, ponadto mają otrzymać jako nagrodę ZSCh sumę 60.000 złotych na założenie świetlicy, oraz 20.000 złotych z Krakowa na ten sam cel. Za moim przykładem poszli inni. Mój brat Sławek oraz koleżanki jak np. Bogaczówna, Borkówna uczą się w Liceum Sztuk Plastycznych w Krakowie. Niektórzy ludoznawcy smucą się tym odpływem młodzieży, i mówią ze zginie sztuka ludowa. Ale nie jest to prawda, bo my idziemy gromadą i będziemy się z sobą kontaktować, a jak zdobędziemy wiedzę to w kulturze utrwalimy to co najlepsze z naszej kultury wsiowej, gdyż mamy ją w krwi i oczach współżyjąc z nią od dzieciństwa. Jeśli zaś — jak było nas troje i wszyscy malujemy, to i w naszej wsi twórców nie zbraknie. Tylko trzeba dalej iść tą drogą jaką już idzie Polska Ludowa.

Tak to, podając do druku życiorys zwykłej i prostej dziewczyny wiejskiej, można się dużo dowiedzieć o przemianach jakie zaszły, gdyż widać wyraźnie, że coś się zaczęło dziać dopiero wtedy, jak nastał ludowy rząd chłopsko-robotniczy. Tym sposobem wpadłam w sieć, która wyniosła mnie jak nic na studentkę, bez większego z mej strony bohaterstwa. *To wszystko mam zamiar wymalować. Chcę malować przemianę bo, rzeczą artysty jest widzieć i kształtować życie, jakie się wyzwala i powstaje.*

Leokadia Kosieniak

Telegram

M. KAMMARI

STALIN O ROZKWICIE KULTUR NARODOWYCH II*)

Lenin uczył, że „celem socjalizmu jest, nie tylko zlikwidowanie rozczłonkowania ludzkości na drobne państwa i wszelkiego odosobnienia narodów, nie tylko zbliżenie narodów, ale także ich zlanie się". (Dzieła, t. 22, str. 135. Wyd. 4-te). Nie może to się jednak dokonać odrazu, w krótkim czasie, podkreślił Lenin. „Podobnie jak ludzkość może dojść do zlikwidowania klas tylko poprzez przejściowy okres dyktatury klasy uciskanej; tak i do nieuchronnego zlania się narodów ludzkość może dojść tylko poprzez przejściowy okres całkowitego oswobodzenia wszystkich uciskanych narodów, t.zn. ich wolności oderwania się" (j. w. str. 135 — 136).

Konkretyzując tę tezę po zwycięstwie Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej odnośnie zagadnień taktyki partii komunistycznych, W. I. Lenin pisał „Dopóki istnieją narodowe i państwowe różnice między narodami i krajami — a różnice te będą się utrzymywały jeszcze bardzo, bardzo długo nawet po zrealizowaniu dyktatury proletariatu w skali światowej — jednolitość międzynarodowa taktyki komunistycznego ruchu robotniczego wszystkich krajów wymaga nie usunięcia zróżniczkowania, nie zlikwidowania różnic narodowych (jest to absurdalne marzenie w chwili obecnej), lecz takiego zastosowania podstawowych zasad komunizmu (władza radziecka i dyktatura proletariatu), które by prawidłowo (prawilno) przeobraziło postać tych zasad w szczegółach, prawidłowo przygotowywało i przystosowywało je do różnic narodowych i narodowo-państwowych (Dzieła, t. XXV. str. 22).

„Z tez powyższych wynika, wskazuje Stalin, że Lenin odnosi proces zamierania różnic narodowych i zlania się narodów nie do okresu zwycięstwa socjalizmu w jednym kraju, ale wyłącznie do okresu po zrealizowaniu dyktatury proletariatu w skali światowej t. zn. do okresu zwycięstwa socjalizmu we wszystkich państwach, skoro zostaną już założone fundamenty światowej gospodarki socjalistycznej" (Dzieła, t. II str. 346). Próbę umieszczenia procesu zamierania różnic narodowych w okresie zwycięstwa socjalizmu w jednym państwie, Lenin kwalifikował jako „absurdalne marzenie".

Opierając się na tych wskazaniach W. I. Lenina, tow. Stalin w swojej pracy „Kwestia narodowa a leninizm", jak również w szeregu innych prac, a szczególnie w swoim referacie sprawozdawczym i reasumcji na XVI Zjeździe K. C. W. K. P.(b), demaskuje szowinistyczne teorie o możliwości zamierania różnic narodowych i języków narodowych w okresie zwycięstwa socjalizmu w jednym państwie, dowodząc, że wręcz przeciwnie w tym okresie następuje konsolidacja, rozwój i całkowity rozkwit narodów i kultur narodowych, ale na narodowych podstawach historycznych, na zasadzie dyktatury proletariatu, radzieckiego ustroju socjalistycznego.

Rozwijając dalej tezy Lenina, Stalin poucza: „Niesłuszny byłby sąd, że zlikwidowanie różnic narodowych i zamieranie języków narodowych nastąpi odrazu po pokonaniu imperializmu światowego, za jednym uderzeniem, w trybie odgórnych dekretów. Nie ma nic bardziej błędnego niż taki pogląd. Próby, zmierzające do zlania się narodów drogą wydawania odgórnych dekretów, drogą przymusu oznaczałyby poparcie imperialistów, zagubienie sprawy oswobodzenia narodów, pogrzebanie sprawy organizacji współpracy i braterstwa narodów. Taka polityka byłaby równa polityce asymilacji". (Dzieła, t. II, str. 347).

Tow. Stalin podkreśla, że „polityka asymilacji zostaje bezwarunkowo wyrzucona z arsenału marksizmu — leninizmu, jako polityka antyludowa, kontrrewolucyjna, jako polityka szkodliwa" (j.w.).

Polityka asymilacji jest to polityka wchłonięcia przemocą jednego narodu przez drugi, polityka stłumienia swobodnego rozwoju narodów, języków i kultur narodowych.

Jest to polityka burżuazyjno-nacjonalistyczna, imperialistyczna, nawskroś reakcyjna. Jest to polityka imperialistów USA, Anglii i innych państw.

Tow. Stalin wskazuje, że polityka asymilacji, jako antyludowa i kontrrewolucyjna, skazana jest w końcu na nieuchronną klęskę i krach, gdyż „wiadomo, że narody i języki narodowe wyróżniają się nadzwyczajną trwałością i kolosalną siłą przeciwstawiania się polityce asymilacji". (Dzieła t. II, str. 347).

Dowodzą tego niezbicie fakty historyczne. Tak na przykład, tureccy asymilatorzy „najokrutniejsi ze wszystkich asymilatorów" setki lat męczyli i dławili bałkańskie narody, nie osiągnęli jednak swego celu — zniszczenia narodów bałkańskich, ponieśli klęskę, zostali zmuszeni do kapitulacji. Carscy asymilatorzy i niemieckopruscy i austriaccy germanizatorzy nie ustępujący im w okrucieństwie, ponad sto lat rozcinali na części naród polski, perscy i tureccy asymilatorzy setki lat krajali na kawałki, męczyli i niszczyli naród ormiański i gruziński — także jednak nie osiągnęli swego celu. Anglo-amerykańscy asymilatorzy, którzy w ciągu setek lat uciskali i gnębili dziesiątki i setki plemion, narodów i narodowości Azji, Afryki, Australii i Ameryki, również poniosą klęskę i będą zmuszeni do kapitulacji przed jednolitym frontem wszystkich miłujących wolność narodów, podejmujących walkę o wolność i niezawisłość.

Tow. Stalin uczy partie komunistyczne, że należy wziąć pod uwagę te wszystkie okoliczności, „aby prawidłowo przewidzieć bieg wypadków z punktu widzenia rozwoju narodów bezpośrednio po pokonaniu imperializmu światowego" (Dzieła, t. II, str. 348).

Biorąc pod uwagę te okoliczności i doświadczenie rozwiązania kwestii narodowej w ZSRR, tow. Stalin wysuwa następujące wnioski. „Błędne byłoby rozumowanie, że pierwszy etap światowej fazy dyktatury proletariatu będzie początkiem zamierania narodów, języków narodowych, początkiem tworzenia się jednolitego wspólnego języka. Naodwrót, pierwszy etap, w czasie którego zostanie ostatecznie zlikwidowany ucisk narodowy, stanie się etapem wzrostu i rozkwitu dawniej uciskanych narodów i języków narodowych, etapem ugruntowania równouprawnienia narodów, etapem likwidacji wzajemnej nieufności narodowej, etapem wprowadzenia i wzmocnienia internacjonalistycznych więzów między narodami.

Dopiero na drugim etapie światowej fazy dyktatury proletariatu, w miarę tworzenia się jednolitej, światowej gospodarki socjalistycznej na miejsce światowej gospodarki kapitalistycznej, — dopiero na tym etapie zacznie się kształtować coś w rodzaju wspólnego języka, tylko na tym bowiem etapie narody odczują konieczność posiadania wspólnego, międzynarodowego języka równolegle z ich językami narodowymi, w celu udogodnienia stosunków i współpracy ekonomicznej, kulturalnej i politycznej. A więc na tym etapie języki narodowe i wspólny język międzynarodowy, będą istniały równolegle...

W następnym etapie okresu światowej dyktatury proletariatu, gdy światowy system socjalistyczny wzmocni się w dostatecznym stopniu i socjalizm wejdzie w byt narodów, kiedy narody przekonają się w praktyce o przewadze wspólnego języka w porównaniu z językami narodowymi — różnice i języki narodowe zaczną zanikać, ustępując miejsca wspólnemu dla wszystkich języków światowemu" (Dzieła, t. II, str. 348—349).

W tych wytycznych tow. Stalina odsłonięta jest przyszłość narodów i języków narodowych po zwycięstwie komunizmu na całym świecie, niesłychanie jasno nakreślona została perspektywa rozwoju narodów socjalistycznych.

Jest zupełnie oczywiste, że tezy tow. Stalina posiadają ważne, decydujące znaczenie dla wszystkich nauk społecznych, dla filozofii, nauki o państwie, prawie, języku, teorii, literatury, sztuki, kultury i dla praktycznej działalności partii komunistycznych we wszystkich krajach świata.

W sprawozdaniu politycznym Komitetu Centralnego na XVI Zjeździe WKP(b) tow. Stalin ostro i całkowicie skrytykował szowinistyczne teorie Kautsky'ego w kwestii zanikania narodów, języków narodowych i kultur, zdemaskował teorie odchyleńców w kierunku wielkomocarstwowego szowinizmu, którzy wpadli w ręce Kautsky'zmu i dążyli w istocie rzeczy do likwidacji narodowych republik radzieckich, narodowych języków i kultur.

Demaskując te nacjonalistyczne teorie tow. Stalin wykazał, że w okresie socjalizmu narody nie tylko nie zamierają ale wręcz przeciwnie, rozwijają się i rozkwitają. Okres budownictwa socjalizmu w ZSRR (a w następstwie i w państwach demokracji ludowej) jest „okresem rozkwitu narodowych kultur socjalistycznych w treści i narodowych w formie".

Stalin mówił, że zacofane narodowości można włączyć do sprawy budownictwa socjalistycznego w sposób należyty tylko poprzez rozwój kultury narodowej, w formie i socjalistycznej w treści.

Wyrzeczenie się tego oznaczałoby pozostawienie narodów i ludów w duchowej, politycznej i ekonomicznej niewoli reakcyjnych klas wyzyskiwaczy.

„*Należy umożliwić rozwój kultur narodowych, wyzwalając cały potencjał, aby stworzyć warunki dla zlania się ich w jedną wspólną kulturę z jedynym wspólnym językiem.*

Dialektyka leninowskiego ujęcia zagadnienia kultury narodowej polega na tym, że w warunkach dyktatury proletariatu w jednym kraju powinien nastąpić rozkwit kultur narodowych w formie i socjalistycznych w treści w celu zlania się ich w jedną wspólną socjalistyczną (w formie i treści) kulturę z jednym wspólnym językiem w okresie gdy proletariat zwycięży na całym świecie i socjalizm zostanie ugruntowany". (J. Stalin „Zagadnienia leninizmu", str. 426 — 427, wydanie 10-te).

Stalin podkreśla przy tym, że wspólnym językiem dla całej ludzkości po zwycięstwie komunizmu na całym świecie będzie nie jakikolwiek z języków współczesnych, a język nowy, który powstanie w procesie zlania się istniejących współczesnych języków w jeden wspólny język, w wyniku *długiego* obcowania narodów na bazie jednolitej światowej gospodarki komunistycznej.

Demaskując lokalny nacjonalizm i odchylenie w jego stronę wewnątrz partii, J. Stalin wskazywał, że istota takiego odchylenia polega na dążeniu do oddzielenia się i zamknięcia w ramach swojej narodowej skorupy, na dążeniu do zatuszowania przeciwieństw klasowych wewnątrz swego narodu, na dążeniu do oderwania swego narodu od ogólnego nurtu budownictwa socjalistycznego, „na dążeniu do ignorowania tego, co zbliża i łączy masy pracujące narodów ZSRR, i do zwracania uwagi tylko na to, co może je oddalić wzajemnie od siebie".

Partia Lenina — Stalina prowadziła i prowadzi bezlitosną walkę z burżuazyjnym nacjonalizmem wszelkiego autoramentu, jako narzędziem imperialistycznej reakcji, wychowuje masy w duchu proletariackiego internacjonalizmu, przyjaźni narodów, solidarności mas pracujących wszystkich narodowości w walce o komunizm.

Uwzględniając doświadczenie W. K. P. (b), a także doświadczenie walki rewolucyjnej w swoich krajach, bratnie partie komunistyczne wzmacniają czujność mas w stosunku do burżuazyjnego nacjonalizmu, wychowują masy pracujące w duchu proletariackiego internacjonalizmu, w duchu ścisłego zespolenia i solidarności narodów wszystkich krajów wokół narodów ZSRR.

W. I. Lenin jeszcze w 1920 r. wskazywał, że „nie wolno w obecnej chwili ograniczać się do samego uznania lub głoszenia zbliżenia mas pracujących rozmaitych narodowości, ale należy prowadzić politykę zrealizowania najściślejszego sojuszu wszelkich kolonialnych narodowo-wyzwoleńczych ruchów z Rosją Radziecką, określając formy takiego sojuszu zgodnie ze stopniem rozwoju komu-

(dokończenie na str. 3)

STANISŁAW ARNOLD

LENIN W WALCE O PARTIĘ

Budując podstawy Polski socjalistycznej korzystamy z wieloletnich doświadczeń Związku Radzieckiego, z genialnych wskazań wodzów narodu radzieckiego, a jednocześnie wodzów rewolucyjnego ruchu robotniczego na kuli ziemskiej — Lenina i Stalina. I pod tym względem nie ulega żadnej wątpliwości, że należy podkreślić jeszcze — i jeszcze raz — olbrzymie znaczenie, jakie dla umocnienia i pogłębienia w naszym społeczeństwie ideologii socjalistycznej opartej na założeniach marksizmu-leninizmu, rękojmi skutecznej budowy Polski socjalistycznej — stanowi lektura krótkiego zarysu „Historii Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików)".

Jest to książka — której nie wystarczy przeczytać raz jeden. Wracać do niej trzeba stale, przy każdym nasuwającym się zagadnieniu zarówno teraźniejszości, jak i przeszłości, obejmującej już więcej niż stulecie rozwoju ruchu robotniczego i walki z kapitalizmem w Europe, a więcej niż półstulecia rozwoju ruchu robotniczego na ziemiach polskich. Jest to książka, która w przedziwnie subtelny sposób łączy metodę badania historycznego, opartego na założeniach materializmu historycznego z gruntowaniem u czytelnika zasadniczych założeń tegoż materializmu, pojmowaniem procesu historycznego, poznawaniem drogi, jaką należało przebyć, aby osiągnąć jedyne w historii zwycięstwo — zwycięstwo socjalistycznej Rewolucji Październikowej, zwycięstwo ukształtowanego po r. 1917 ustroju socjalistycznego.

Nie chcę tu — rzecz jasna — pisać o samej książce, „recenzje" są jej niepotrzebne. Chcę wskazać tylko na parę momentów, które łączą się z metodą ujęcia i rozpracowywania materiału — a wiążą się bezpośrednio z drogą, po której szedł robotniczy ruch rewolucyjny w Rosji.

Ten ruch powstał przed r. 1917 w związku z rozwijającym się kapitalizmem — i nie wykazywał niektórych różnic w stosunku do innych krajów, pomijając kwestię pewnych różnic w rozwoju samego kapitalizmu w Rosji w porównaniu z innymi krajami. Tak — było pewną różnicą, że mianowicie ten ruch osiągnął to, czego nie udało się zrobić klasie robotniczej w żadnym innym kraju: osiągnął zwycięstwo rewolucyjne, obalił u siebie kapitalizm, stworzył socjalizm. Ten wynik był rezultatem zasadniczej postawy, jaką zajęła klasa robotnicza w Rosji, mianowicie podstawy zdecydowanie i konsekwentnie marksistowskiej, wprowadzonej i utrzymanej przez genialne kierownictwo i niespożycie twardą wolę Lenina i jego najbliższych współpracowników.

Gdy czytamy pierwsze rozdziały „Historii W.K.P.(b)" — problem ten występuje od razu z całą wyrazistością — wiąże się z pierwszymi wystąpieniami Lenina. Żywiołowy ruch robotniczy w [illegible] nie ma kierownictwa i[illegible] nie obyczach Marksa i Engelsa. Marksizm nie mógł się rozwijać w warunkach dominujących, a błędnych poglądów narodników, nie rozumiejących toku procesów historycznych, nie mógł także uzyskać należytej roli rewolucyjnej, gdy znaczna część ówczesnych marksistów rosyjskich stała na gruncie izolacji rewolucyjnej proletariatu, nie uznając możliwości sojuszu z olbrzymimi masami chłopstwa, dopuszczając raczej sojusz z liberalną burżuazją. I tu zaczęła się walka Lenina o właściwe podstawy dla robotniczego ruchu rewolucyjnego w Rosji — walka trwająca aż do samej rewolucji. Pierwsze wystąpienia Lenina rozbiły podstawę „narodników", dalsze — miały na celu organizowanie ruchu robotniczego przez stworzenie partii nowego typu — partii marksistowskiej, zwalczającej rewizjonistyczne wpływy „ekonomistów", nie uznających roli kierowniczej, świadomej ideologii marksistowskiej w ruchu robotniczym.

Od I Zjazdu Socjal-Demokratycznej Partii Robotniczej Rosji Lenin walczy o stworzenie jej programu i należytej organizacji nowej partii. Jej podstawy i d e o l o g i c z n e dał w słynnej książce „Co robić", wydanej w roku 1902, stwierdzając, że „bez rewolucyjnej teorii niemożliwy jest również ruch rewolucyjny", zaś „rolę prowadzącego bojownika może wypełnić jedynie partia, kierowana przez przodującą teorię".

Na tle wysuwanych przez Lenina haseł programowych wystąpiły już w r. 1903 (na II Zjeździe S.D.P.R.R.) różnice między nim a grupami „ekonomistów" i oportunistów zwanych odtąd mieńszewikami (w przeciwstawieniu do zwolenników Lenina — bolszewików). Pod względem organizacyjnym podstawy nowej partii przedstawił Lenin (rozprawiając się ze swymi mienszewickimi przeciwnikami) w broszurce p.t. „Krok naprzód, dwa kroki wstecz", w której uzasadnił, że partia marksistowska jest oddziałem czołowym, świadomym klasy robotniczej — i dlatego musi być oddziałem zorganizowanym, kierowniczym. W walce o te założenia Lenin nie ustępował ani na krok swym przeciwnikom — i zakończył je w r. 1912, kiedy na konferencji w Pradze powstała Socjal-Demokratyczna Partia Robotnicza (bolszewików) Rosji z Leninem, Stalinem, Swierdłowem i innymi na czele.

Przygotowaniem partii pod względem politycznym była książka: „Dwie taktyki socjal-demokracji w wolucji demokratycznej", wydana w lipcu 1905 r., a więc w czasie rewolucji, w której Lenin wykazywał różnicę między rewolucją burżuazyjną a rewolucją socjalistyczną, formułował zasady taktyki marksistowskiej w okresie przejścia od rewolucji burżuazyjnej do rewolucji socjalistycznej. Podstawową myślą Lenina było, że proletariat może i powinien być wodzem rewolucji burżuazyjno-demokratycznej — i że może osiągnąć [illegible] sojusznika w klasie zainteresowanej w zwycięstwie rewolucji, mianowicie w chłopstwie. Według tej teorii hegemonia proletariatu w rewolucji burżuazyjnej przy istnieniu sojuszu proletariatu i chłopstwa powinna była przerosnąć w hegemonię proletariatu w rewolucji socjalistycznej przy istnieniu sojuszu proletariatu i pozostałych mas pracujących i wyzyskiwanych, a demokratyczna dyktatura proletariatu i chłopstwa powinna była przygotować grunt dla socjalistycznej dyktatury proletariatu.

Jak wiadomo — ta teoria znalazła swe pełne zastosowanie po rewolucji lutowej z 1917 r. i doprowadziła do całkowitego triumfu.

Wreszcie — przygotowaniem nowej partii pod względem teoretycznym była praca Lenina p.t.: „Materializm i empiriokrytycyzm", wydana w roku 1909, rozprawiająca się z „krytykami" filozoficzno-teoretycznych podstaw marksizmu — i utrwalająca założenie materializmu dialektycznego i historycznego, jako teoretycznych podstaw partii marksistowskiej.

Na gruncie tych podstaw organizowała się partia marksistowska w Rosji, na gruncie tych zasad kierowała ruchem klasy robotniczej w przeddzień rewolucji 1905, w czasie samej rewolucji i potem, w okresie reakcji stołypinowskiej. Wybuch wojny imperialistycznej w r. 1914 wykazał, że tylko partia bolszewików, kierowana przez Lenina, zajmowała jedynie konsekwentne, marksistowskie stanowisko, gdy inne partie socjal-demokratyczne (zorganizowane w II Międzynarodówce) poszły za burżuazją innych krajów. W toku wojny w r. 1916 Lenin wydał pracę: „Imperializm, jako najwyższe stadium kapitalizmu", w której stojąc na gruncie marksizmu, rozwinął jego teorię na okres imperializmu, stworzył podstawy leninizmu, jako teorii i praktyki robotniczego ruchu rewolucyjnego w okresie imperializmu. Najważniejszym wynikiem rozważań Lenina było to, że imperializm — to przeddzień socjalnej rewolucji proletariatu — i dalej genialny wniosek, że ze względu na nierówność rozwoju kapitalizmu w różnych krajach, jest niemożliwe zwycięstwo socjalizmu jednocześnie we wszystkich krajach, że socjalizm musi zwyciężyć najpierw w jednym lub kilku krajach, pozostałe zaś przez pewien czas jeszcze pozostaną burżuazyjnymi.

Ta nowa wykończona teoria rewolucji socjalistycznej stała się programem działania partii bolszewików w r. 1917 i dała jej zwycięstwo. A dziś obalone zostały podstawy ustroju kapitalistycznego w wielu krajach Europy i Azji — partie robotnicze tych krajów, stojąc twardo na gruncie marksizmu budują podstawy socjalizmu. Jakaż wielka jest droga odbyta od ostatnich lat w XIX wieku — zaczątku partii Lenina, Stalina w Rosji — do dzisiejszej chwili.

Stanisław A[illegible]

*) [illegible]ewik, Nr 6 (Skrót), patrz [illegible]r 44.

JERZY K. MACIEJEWSKI

WESELE WSPÓŁCZESNEGO BORYNY

Antosia ma szeroką twarz z cokolwiek kaczym nosem, jest krępa, ma mocne nogi i pracowite ręce. Na wesele swego brata, Stefana, przybyła na księżacką wieś z kopalni węgla na Dolnym Śląsku. Do dziś ma posiniaczone ręce, przed wyjazdem bowiem zdarzył się jej przykry wypadek: w zastępstwie chorej koleżanki przydzielono ją do wyjmowania numerków z naładowanych węglem wózków, wyjeżdżających na powierzchnię. Praca ta wymaga wielkiej uwagi i zręczności, gdyż wózki nie czekają. Tymczasem Antosia zamyśliła się o weselu, człowiek na zwrotnicy zagapił się i wózek o mały włos nie zmiażdżył Antosinej dłoni. Dostała trzy dni zwolnienia i — poniekąd dobrze się złożyło, bo mogła wyjechać do domu.

Antosia i jej siostra, Michasia, biegają teraz jak wrzeciona między „piecem", czyli kuchnią w niewielkiej budzie pośród podwórza, a stodołą, gdzie pracują obecnie rzeźnicy i chałupą, gdzie już jest trochę gości, w tej liczbie kilka osób z miasta.

Goście z miasta, to znajomi z Warszawy i krewniacy z Pomorza. Trzeba o nich pamiętać, gościć ich, by się nie nudzili i nie byli głodni. Jest niedzielne, późne popołudnie, jutro rano ślub, o godzinie szóstej już przyjeżdżają muzykanci, a tu stercz, choć ziemia po prostu pali się Antosi pod nogami. Stoi w drzwiach i, myśląc o oczekującej ją robocie, jednym uchem przysłuchuje się rozmowie gości. Bierze w niej udział także wujek z Aleksandrowa pod Łodzią i chrzestny z tej samej wsi, co Antosia. Chrzestny podpił sobie trochę, zwiesił nad stołem długi nos i ubolewa nad zanikaniem stroju i obyczaju wśród Księżaków.

— Antośka! Anto-siaaa!

Wzywano ją do stodoły, gdzie dwóch rzeźników przy pomocy brata Antosi, Czesława, parało się przerabianiem na wędliny, czyli jak tu się mówi „na wyrób", dwóch wieprzy i dużego cielaka. Rodzina młodych liczyła się z przybyciem co najmniej półtorej setki gości, a to nie są przelewki. Ogólnie praktykuje się, że trzeba samej kiełbasy przygotować na głowę pół kilograma i jeden litr „czystej" na cztery osoby.

Mężczyźni żądali od Antosi światła, gdyż już zapadał zmierzch, uniemożliwiający pracę. Przyniosła im naftową lampę, słabe jednak jej światło było niewystarczające.

— Kabel, przynieście kabel — posłyszała.

Stefan zakrzątnął się i po chwili przyniósł duży zwój kabla. Włączyli go do sieci sąsiadów, wkręcili silną żarówkę i po chwili silne światło zalało całą stodołę. To podłączanie przy takich okazjach, jak wesele, chrzciny, czy zabawa taneczna, do sieci jest tu we wsi ogólnie praktykowane i nikt tego nie uważa za nadużycie.

Rzeźnicy odetchnęli z ulgą i raźniej zabrali się do pracy.

Gość z Warszawy, stojąc przed stodołą, ćmił papierosa i patrzał, jak mała, trzyletnia dziewczynka z cukierkiem w buzi, brnęła przez wielką kałużę przed wierzejami. Podniósł ją ostrożnie, nie bacząc na wielki wrzask.

Antosia przerwała na chwilę swój zadyszany bieg. Zwierzała się gościowi półgłosem:

— Wszystko jest strasznie spóźnione. Te wyroby powinny były być od paru dni gotowe, ale z tym rzeźnikiem z Kiernozi, który miał się tym zająć, wyszła nieprzyjemna historia... Chciał na zezwolenie Stefana zaszlachtować wieprzka i wyrób sprzedać „na lewo", ale doniosła na niego jakaś kobieta, której kiedyś nie chciał sprzedać słoniny, i teraz — siedzi. Wszystko mięso mu zabrali i rozsprzedali w Łowiczu...

Goście z Warszawy dopytywali, czy przechowały się we wsi jakie stare zwyczaje, związane z obrzędem weselnym? Na przykład tzw. dziewiczy wieczór? Antosia w odpowiedzi parsknęła śmiechem.

— Nie, nie słyszałam o czymś takim. Ale idźcie, państwo, do domu młodej, popatrzcie.

Młoda gospodaruje razem z matką, siostrą i szwagrem. Młoda nie jest już pierwszej młodości i chciałaby wreszcie być na swoim. Ale w ostatnich dniach tyle jest pracy, że nie ma czasu nawet pomyśleć o tym. Kiedy goście z miasta weszli do izby, wypełniona była sąsiadkami i krewnymi, pomagającymi w przygotowaniach przedweselnych. Matka młodej wraz z dwiema kobietami gotowała makaron. W rogu kuchni, na bitej z gliny podłodze stał ceber, wypełniony oskubanymi już kurami, przeznaczonymi na weselny rosół. W sąsiedniej izbie parę kobiet wałkowało ciasto, podczas gdy inne pośpiesznie krajały makaron. Całe sterty makaronu. Ostre noże odstukiwały milimetr po milimetrze ciasta, zsuwanego na bok i zabieranego przez kobietę, krążącą z sitem do przenoszenia makaronu.

Było już późno. Młoda przykucnęła na skraju łóżka, wypełnionego pierzynami i śpiącymi dziećmi. Oczy jej kleiły się. Ziewała szeroko.

— Jasiu — zawołała do niej jedna z kobiet — idź spać, wypocznij, muzyka jutro przyjeżdża już o szóstej rano!

— Idź spać, Jaśka! — odezwała się druga — bo jutro ci Stefan spać nie da!

Wszystkie, z wyjątkiem młodej, roześmiały się hałaśliwie. Ona zaś stanąwszy obok łóżka i zasłonięta przez jedną z kobiet, powoli zewłóczyła z siebie przyodziewek. Zerknąwszy szybko, czy gość z Warszawy nie patrzy, wciągnęła na się nocną koszulę i szybko dała nura pod pierzynę. Ach ,co za rozkosz móc wreszcie wyciągnąć się w łóżku! I pocóż, i dla kogo tyle, tyle pracy? Zwyczaj... Trzeba nakarmić i napoić te dziesiątki gości. Inaczej nie można. Wzięliby ją na języki, że dziadówka...

Pomyślała o Michasi. Cóż brak dziewczynie? I młoda jeszcze, i ładna, a przecież wesele, które się na jesieni kroiło, nie dojdzie do skutku, bo wiano, które mu miała wnieść, rodzina jego uznała za małe. Nie wystarczy na spłatę rodzeństwa. Więc choć Murczak do Michasi chodził ze trzy roki — z weseliska będą „nici"...

Myśli młodej zaczynały się już plątać. Zasypiała. Ale dostrzegła jeszcze, że do izby wpadła Antosia, która oderwała się od własnej roboty, by pomóc młodej. Tak wypadało.

Kiedy gość ze stolicy wyszedł na dwór, gwiazdy ledwie przeciekały przez coraz gęstniejącą mgłę. Żebyż tylko jutro była pogoda — pomyślał.

Na dziedzińcu u Stefana jarzył się niewielki ogień. Wierzeje stodoły nadal były otwarte. Rzeźnicy zajęci byli fabrykowaniem krwawej kiszki i salcesonów.

W płytkim dołku, wygrzebanym pod niewielkim otworem płonęły leniwie kawałki dębiny, którą poprawiał niekiedy jeden z rzeźników. Pachniało cierpkim dymem . świeżo wędzoną wędliną. Jakaś kobieta nabierała wiadrem z parnika, gdzie było gotowane mięso, rosół. Życie w obu zagrodach, mimo, że dochodziła północ, nie zamierało.

Goście z miasta spali w stodole. Siano pachniało odurzająco i pełne było drobnych szelestów. Przez szczeliny w ścianach, z desek zbijanych były gwiazdy. Chrobotał na łańcuchu, ujadał pies...

✤

W samej rzeczy już o szóstej rano do stodoły wpadła Antosia z okrzykiem, że muzykanci już przyjechali.

— Bębenek, skrzypce i akordeon! Ale chłopaki tak zmęczone, że zaraz uwaliły się spać!

Goście, ziewając, wstawali i szukali miejsca, gdzie by można dokonać porannej toalety. Antosia ustawiła na podwórzu dużą cieknącą miednicę, wyniosła lniany ręcznik i kawałek pachnącego mydła. Kobiety były skrępowane koniecznością mycia się publicznie, mężczyźni mieli trudności z goleniem się. Szczęściem domownicy, zajęci swoimi sprawami, mało na nich zwracali uwagi.

W oczekiwaniu na śniadanie, gość z Warszawy wyszedł na wiejską ulicę. Była to bita, porządnie utrzymana wysadzona topolami droga. Ścieżka między chałupami młodych była świeżo wysypana żółtym piaskiem. Błoto przed domem młodej było zasypane również. Po przeciwległej stronie drogi, w rzadkim sadzie kilku parobczaków układało podłogę do tańca. Zawadzające im młode wisienki i dolne gałęzie jabłonki przycięli.

— Uważaj, nie dziabaj! — wołała przyglądająca się temu mała dziewczynka. — Dziabiesz i dziabiesz, wszystkie gałęzie poobcinasz!

— Podłóż, Franek — odezwał się jeden z braci młodego, Michał — jakiś kamień pod środek, bo pochyło. Ludzie pospadają w tańcu.

Na ulicy pokazała się młoda, dźwigając wielką bańkę od mleka. Była ubrana po roboczemu i miała pochmurną, zaaferowaną twarz. Wyglądała staro. Myślała co będzie, jeżeli mgła nie pójdzie w górę i zacznie padać deszcz. Gdzie pomieścić tę chmarę gości, która za chwilę zacznie się zjeżdżać? Mgła na świecie — smutek na sercu. Wczoraj wieczorem, gdy zaczął pokropywać deszcz, chrzestna powiedziała:

— Takie to i życie wasze będzie: trochę pogody i trochę łez.

Ona się roześmiała i nadrabiając miną, rzekła:

— A ja sobie tak myślę: jak Stefan będzie płakał — będę się starała go pocieszyć, śmiejąc się. I odwrotnie...

Wreszcie pokazali się muzykanci, a już i zajechała pierwsza bryczka, wyładowana weselnymi gośćmi. Muzyka zagrała marsza i gospodarz, wysiadając z bryczki, szedł ku muzykantom, wtykając jednemu z nich w kieszeń napiwek.

Młody prosił gości, przybywających z dalszej okolicy (niektórzy nawet spod Głowna) oraz gości z miasta do stołu na pierwsze śniadanie. Tymczasem młoda przy pomocy druhen przebierała się w strój łowicki — pyszny, dostatni i barwny. Jedynie zresztą kobiety, i to nie wszystkie, były ustrojone na księżacką modłę. Ich pasiaki mieniły się całą gamą kolorów. Ale i tu obowiązywała moda. Barwa pomarańczowa w pasiakach występowała jedynie u starych kobiet. Żadna z dziewcząt nie włożyłaby na siebie takiej kiecki w obawie przed wyśmianiem. Obecnie przeważała jasna zieleń, biel i fiolet. Gorsety miały z czarnego aksamitu, suto haftowane, podobnie jak i dolny brzeg fartucha. Także i fartuch przecinał szeroki pas naszywanych szychowych świecidełek. Na szyi nosiły korale, głowę zdobiła cienka wełniana, w barwne kwiaty chustka. Kiedy stały tak przed chatą — kolorowe i puszyste — podobne były do gromadki egzotycznych ptaków, lub do kępy różnobarwnych malw, wyglądających spoza sztachet ogródka.

Mężczyźni natomiast byli z miejska odziani i szarzy jak wróble. Zaledwie paru, najstarszych, miało na sobie księżackie, krągłe a niskie kapelusze, spodnie zaś i lejbiki w pasy.

Jeden z nich, imieniem Hilary, weteran wojny rosyjsko-japońskiej, wyliczał gościowi z Warszawy ile jeszcze takich księżackich strojów kołacze się we wsi, a szkoda — powiadał — bo tu przyjeżdżają różne takie z Warszawy i za wypożyczenie można wcale dobrze zarobić...

Wreszcie młoda była ustrojona i w welonie, gotowa do wyjścia. Młody w towarzystwie starszego drużby i dziewosłęba przybył do jej chaty. Stąd miał ją wyprowadzić na nową drogę życia. W zatłoczonej izbie stali po środku, płacząc oboje. Wiele kobiet popłakiwało również, ten zaś i ów mężczyzna częstotliwie poruszał powiekami...

Przed chatą ustawiono stolik, na nim krucyfiks, kropidło i święconą wodę. Młodzi stanęli przed matką, nisko chyląc czoła, by ukryć zapłakane oczy. Michasia, która była starszą druhną przy pomocy swego drużby w najostatniejszej chwili wyciągała z koliska obecnych tych, którzy mieli być drużbami. Powstało krótkotrwałe zamieszanie, po czym wystąpił starszy drużba i wcale gładko wygłosił krótkie, okolicznościowe przemówienie.

Wnet też zaczęły się przyśpiewki. Zdumiewał brak słuchu u kobiet, intonujących te przyśpiewki. Były to raczej jakieś krzykliwe zawodzenia, mające pewne wspólne cechy ze śpiewami na stypie pogrzebowej. Młoda zresztą bynajmniej nie wyglądała na rozradowaną. Oczy miała podpuchnięte od płaczu.

Najbardziej jednak przejmującą była chwila, kiedy tuż przed daniem znaku do wsiadania na bryczki, jedna ze starszych kobiet zaśpiewała przenikliwym głosem:

„Już niedługo, niedługo pójdziecie przed ołtarz,
a nie zapomnijcie po drodze
wstąpić do ojców na cmentarz!"

Oboje bowiem młodzi byli półsierotami.

Bryczka po bryczce zajeżdżały przed chatę i obładowane do granic możliwości ruszały w drogę do kościoła w Złakowie. Dzień był pogodny, ciepły. Po ostatnich deszczach kto żyw wyruszył w pole na podorywki i siejbę. Antosia, jadąca na jednej bryczce z gośćmi z Warszawy, powiedziała półgłosem, wskazując na młodego:

— On z pewnością żałuje, że zamiast iść do siana, marnuje dzień na to weselisko! Gospodarz z niego dobry.

Ludzie we wsi wychodzili przed chaty, przyglądając się korowodowi weselnemu. Na polu przystawali, zaprzestając roboty i długo patrzyli wślad.

Tu i ówdzie kopano kartofle. Paliła się sucha nacina. Ku niebu cienką strużką wił się błękitny dym. W nozdrza bił przenikliwy zapach. Gdzie niegdzie kartoflisko było już zwłóczone. Pomiędzy spulchnioną ziemią bielała wielka ilość pozostawionych ziemniaków. We wsi coraz powszechniej zamiast motyki stosowano rodzaj płużka do kopania kartofli, jeżeli jednak były nieco głębiej, zostawało ich bardzo wiele w ziemi. Nikt nie kwapił się z ich wyzbieraniem.

✤

Ślub był uroczysty. Kościół był rzęsiście oświetlony, ksiądz odprawił mszę św. Wprawione w ruch zepsute organy, zanim wydały pierwszy ton, zgrzytały, sapały i warczały jak silnik starego samochodu.

Kiedy panna młoda klęczała przed ołtarzem, płomyk trzymanej przez nią świecy migotał słabo poprzez welon w trójkącie, utworzonym przez jej głowę i ramię.

Gdy bryczki zajechały przed chałupę młodej, czekała już tam jej matka i niektórzy familianci. Witano młodych, podając młodej bochen chleba, młodemu zaś dziecię w powijakach. Przyjął je z zakłopotanym uśmiechem.

Na „deskach" w ogrodzie odezwała się muzyka i co młodsi puścili się w tany. W pierwszej parze — młodzi. Co starsi gospodarze posiadali na skraju przydrożnego rowu, podczas gdy kobiety jak gile obsiadły ustawione obok desek czyli podłogi ławki.

Matka młodego pozostawała zarówno od zabawy, jak i od przygotowań weselnych na stronie. Oficjalnie tłumaczono ją, że na krzątanie się i zabawę nie pozwala jej tusza i wiek podeszły. Ona sama nieprzeniknionym wyrazem twarzy nie zdradzała swoich uczuć, owszem, podkreślała, że dzieci ma już dorosłe, które wiedzą co czynią, ale w tej abstynencji wyczuwało się dezaprobatę synowskiego wyboru. Niechętnie opuszczała granice swego podwórza i u młodej pokazała się tylko na tak długo, by ją tam dostrzeżono że była.

Gdy na jednej stronie drogi tańczono, po drugiej między chatą a stodołą trwała nieustanna bieganina. W stodole, na oścież otwartej, nakrywano ustawione w podkowę stoły, ściągając od wszystkich krewniaków i sąsiadów szkło i nakrycia stołowe.

Szwagier młodej, wysoki, czarny i szczupły mężczyzna, niosąc w obu rękach kopiaste talerze, wypełnione wędliną, obliczał w duchu, czy jadła i napitku starczy, aby Boże broń, ludzie nie powiedzieli potem, że na wesele skąpiono.

Domownicy prosili gości do stołu. Miejscowi, lepiej się orientujący w warunkach pomieszczenia, hurmem ruszyli do stodoły, która po chwili podobna była do ula na wyroju. Kiedy goście z miasta z ociąganiem zbliżyli się wreszcie do stołów, zdawało się, że nie było gdzie wetknąć szpilki. Powstało zamieszanie. „Ściśnijta się! Ściśnijta!" — wołał dziewosłęb, ocierając spocone, wysokie czoło i odgarniając rzadkie blond włosy.

Goście z miasta mieli siedzieć na przeciwko młodych, którzy też właśnie nadeszli. Stali teraz, zastanawiając się jak się przedostać na drugą stronę stołu. „Przez stół!" — doradzano jej. Weszła na ławkę, po tym na stół, który ugiął się pod jej ciężarem. Butelka z wódką z brzękiem upadła na talerz z ćwikłą. Młody próbował przedostać się pod stołem, lecz zaraz się cofnął. Nie pozwalała mu na to jego godność ani to, że dziś był najważniejszą tu osobą. Poszedł w ślady młodej, odciskając na zastępującym serwetę papierze brudny znak stopy.

Zaraz też zaczęły się przyśpiewki.

„A to czemu nie śpiewata, czy grabowe gęby mata?
Czy grabowe, czy dębowe, a do picia są gotowe!"

Gość z Warszawy, ściśnięty jak śledź w beczce między dwiema dziewczynami w wełniakach, nie mógł się prawie poruszać. Ławka była bardzo wąska, siedzenie więc i bez tego było niewygodne.

„A już Stefan jest po ślubie — śpiewano
Postawcie mu kaszę z garnkiem
— niech sobie dłubie!"

...Ławy obsiadło co najmniej sto dwadzieścia osób, nie licząc tych, co stali, nie mogąc dla się znaleźć miejsca. Nie czekając na zaproszenie, żwawo zabrali się do jedzenia. Poszły w ruch butelki.

„Płynie woda między lipy, a nasz młody nieumyty,
nie chciała go żadna wdowa, tylko Jasiunia Sztychowa!"

Jadła było w obfitości, choć wybór niewielki: kiełbasa, pasztetowa, salceson, krwawa kiszka, chleb ciemny i jasny, tzw. placek, sałata z pomidorów, kwaśne ogórki, ćwikła i musztarda. W tym nieopisanym tłoku czynność jedzenia wymagała wielkiej zręczności i — wysiłku. Na nierównej powierzchni stołów i w tej ciasnocie kieliszki i czarki z wódką często się przewracały, budząc ubolewanie biesiadników.

„Na weselu trzeba śpiewać, a nie siedzieć i nie ziewać,
kto nie śpiewa, nie tańcuje,
niech do domu powędruje!" —

wydzierała się przeraźliwie jedna z druhen, która na wesele przyjechała z Pabianic, gdzie pracowała w apreturze. Była niezmordowana, jej zaś repertuar niewyczerpany. Wtedy właśnie zjawiła się Antosia i stanąwszy za gościem z Warszawy, podjęła z druhną z Pabianic skrzekliwy duet. Zakrzykiwały się wzajemnie, podtrzymywane przez inne dziewczęta i kobiety.

„A ja nie taka głupia, jak moja mamusia,
za kieliszek wódki wyszła za tatusia!"

Z różnych stron stodoły rozległy się tradycyjne okrzyki, że „wódka gorzka, gorzka!" Ale młodzi nie mieli zamiaru całować się publicznie. Siedzieli z pochylonymi głowami, sromając się rzeczywiście, czy też gwoli zwyczaju. Jedli bardzo mało.

„Wianka dowija, ale go nie ma — śpiewano —
ładnego Stefcia przy sobie trzyma,
nikt go nie zabrał tylko jej Stefcio,
co jej obiecał złoty pierścionek!
Pierścionka nie dał, wianek jej stracił,
wianek jej zabrał — nic nie zapłacił!"

Po przekąsce wniesiono talerze i podano rosół, na kurach gotowany, następnie zaś i kury same, przypiekane, do tego kapustę i kartofle. Niektórzy, chcąc użyć do syta, wszystko przegryzali ciastem. Pito dużo i pito by jeszcze więcej, gdyby im chciano nadążyć za tempem picia. Ale gości było półtorej setki, litr zaś wódki kosztuje osiemset zł! Więc choć wołano z różnych stron, że butelki próżne, ani szwagier, ani Antosia z Michasią nie kwapiły się z przynoszeniem nowych „litrów".

„Oj kochanie, kochanie, gorsze od więzienia,
z więzienia wyjść może —
z kochania broń Boże!
Oj da da!"

Gość z Warszawy, któremu te przyśpiewki wykrzykiwano tuż za uchem, marzył już tylko o tym, by wstać od stołu, zwłaszcza że do przyśpiewek przyłączyła się kapela, powtarzając przy każdej niezmiennie ten sam refren.

„Jedzcie, pijcie, używajcie, po kieszeniach nie chowajcie,
a bo zaraz po obiedzie — rewizyja bedzie!"

Przyśpiewka ta, mająca z pewnością swe zwyczajowe uzasadnienie, tym razem była zbędna, gdyż do kieszeni trudno by było się dostać. Jadło znikało z talerzy, stół pokrywał się plamami wylanych płynów, skórkami wędliny, ogryzkami chleba, kośćmi. Nikt nie oglądał się na sąsiada, śpiewając każdy na swoją nutę, przekrzykując się przez całą szerokość klepiska, obejmując, całując i świadcząc sobie słowa przyjaźni. Jeden z drużbów ciągnął Antosię, by siadła mu na kolana, obłapywał ją przy tym tak obcesowo, że opędzała się od niego, jak od natrętnej muchy. Wreszcie odepchnęła go, że aż się zatoczył i zaśpiewała przekornie:

„Moja matuś dobra była, bo mnie robić nie uczyła,
tylko śpiewać i tańcować,
i chłopaka ucałować!"

Zebrano talerze, podając kompot. Kilku podpitych parobczaków mimo ścisku podrzucało w górę spoconego dziewosłęba. Biesiada rozprzęgała się coraz bardziej. Coraz to kto inny wymykał się ze stodoły. Gość z Warszawy poszedł w ich ślady. Muzykanci, ulokowawszy się na wozie, ustawionym obok „podłogi", grali zwykłe w tych stronach „kawałki". Na deskach robiło się coraz bardziej tłoczno.

— I co dalej? — spytał gość z Warszawy Antosię, której nogi podrygiwały do tańca, choć jednocześnie oczy kleiły się ze zmęczenia.

ANNA KAMIEŃSKA

REPORTAŻ Z WESELA

Reportaż Jerzego K. Maciejewskiego, który zamieszczamy, jest ostatnio jedyną bodajże próbą uchwycenia w języku literackim fragmentu żywego dotąd na wsi elementu dawnej kultury ludowej: obrzędu weselnego. Od innych ujęć — powieściowego (choćby wesela Boryny w „Chłopach" Reymonta) i widowiskowego (np. pokazywane przez zespół amatorski „Wesele Lubelskie" lub „Gody Weselne" Schillera) odróżnia się reportaż Maciejewskiego realizmem i aktualnością, osadzeniem w konkretnym czasie. Zrywa on z mitologizacją obrzędowości wiejskiej, nie idealizuje wieczystej pono symboliki obrzędu ani jego znaczenia w kulturze tworzonej przez lud.

Dla współczesnego etnografa ta pozbawiona publicystycznej interpretacji relacja z życia — powinna okazać się interesującą z wielu względów. Nie tylko z tego, że ukazuje trwające jeszcze, a ginące i zacierające się już (niektórzy etnografowie powiedzą niestety!) formy dawnej kultury ludowej dając tym materiał do odtworzenia kiężackiego obrzędu weselnego z okresu bardziej niż dziś zamkniętej kultury wsi. Ale dlatego przede wszystkim, że ukazuje ona ten obrzęd niejako w stawaniu się, w jego zmienności wywołanej dialektyką czasu, ukazuje fragment kultury ludowej, fragment obyczajowości współczesnej wsi, współczesnego ludu. Cóż różni ten „lud" z reportażu od dawnego obejmowanego tą nazwą np. przez pozytywistycznych ideologów — organiczników? Wieś księżacka stwarza tu szczególną sytuację: jest nadal po ludowemu barwna i strojna, ale przestała być zakorzeniona wyłącznie w ziemi, w rolnictwie. Na wesele zjeżdżają do rodziny krewni z odległych stron, będący robotnikami przemysłu, pracownikami w miastach. Wracając na wieś uczestniczą oni w weselu nie jako goście, ale jako czynni aktorzy obrzędów. Wieś nawet poprzez stosunki rodzinne wiąże się z przemysłem, z klasą robotniczą.

Wesele, współczesne wesele wiejskie daje przede wszystkim sposobność do badania stosunków rodzinnych na wsi. Reportaż Maciejewskiego ukazuje tu interesujące przejawy będące w dużej mierze remanentami przeszłości: względy majątkowe przy zawieraniu małżeństwa, osoba złej świekry, w antagonistycznych przyśpiewkach podziały obyczajowe na panny, mężatki (baby).

Drugą sprawą z zakresu obyczajowości współczesnej wsi przejawiającą się w zmiennej obrzędowości wesela — jest sprawa kobiety na wsi. Na ile rola jej jest nadal bierna przy wyborze męża, następnie podporządkowana mężowi w życiu rodzinnym i pracy.

To nawet, co w tej sprawie nie zostało wyraźnie wydobyte przez autora, co się w opisywanym obrzędzie weselnym nie ujawniło — stwarza pokusę dokładniejszego zbadania i słuszniejszej niż to się u nas w pracach etnograficznych przeważnie czyniło — słuszniejszej, a więc bardziej marksistowskiej oceny sytuacji kobiety i jej roli w życiu wsi.

Autor reportażu natrafił na żyłę żywego ciągle folkloru, dowiódł żywotności obrzędu właśnie w jego zmienności, a nie w zakrzepłości tradycji. W zbeletryzowanej formie reportażu wyraźnie miesza się element dawności zwyczajowej, z formami nowego życia w zmienionych warunkach materialnych. Satyryczne przyśpiewki weselne zapisane przez autora przechodzą tradycyjnie z pokolenia na pokolenie i tu jednak dało by się zapewne odkryć elementy nowe, współczesne. Reportaż ujawnia wyraźnie w opisie zabawy weselnej na tle pracy gospodarczej na wsi — brak równowagi między pracą i zabawą, coraz większe nieprzystosowanie dawnej formy zabawy — długotrwałej, hucznej zabawy kiackiej do współczesnych norm pracy w rolnictwie. Reportaż Maciejewskiego dostrzega niestety zbyt mało względów klasowych w przebiegu wesela, w zwyczajach weselnych. Uwydatnić te sprawy, zinterpretować je — byłoby obowiązkiem współczesnego etnografa-marksisty. Zwracając w zamieszczonym reportażu uwagę na żywotność obrzędowego folkloru, a tym samym i jego zmienność, redakcja zaprasza etnografów do zabrania głosu i uzupełnienia literackiego opisu Maciejewskiego historyczno-kulturową interpretacją.

Anna Kamieńska

STALIN O ROZKWICIE KULTUR NARODOWYCH

(Dokończenie ze str. 2)

nistycznego ruchu wśród proletariatu każdego państwa lub burżuazyjno-demokratycznego ruchu wyzwoleńczego klasy robotniczej i chłopów w krajach zacofanych lub wśród zacofanych narodowości". (Dzieła. tom XXV, str. 287).

Oznacza to, że stosunek do ZSRR stanowi najpewniejsze kryterium dla określenia tego, kto jest prawdziwym socjalistą, komunistą, internacjonalistą, a kto jest tylko zamaskowanym agentem imperializmu.

Lenin i Stalin rozwijają i konkretyzują zasady proletariackiego internacjonalizmu w zastosowaniu do naszej epoki, demaskując jednocześnie wszelkich zamaskowanych agentów imperializmu w rodzaju titowców podających się za „socjalistów", „komunistów", „internacjonalistów", w rzeczywistości zaś kroczących w awangardzie podżegaczy zbrodniczej wojny przeciw ZSRR i krajom demokracji ludowej.

Stalin, demaskując najgorszych wrogów socjalizmu, wrogów wolności ludów — trockistów, tych faszystowskich wyrodków ukrywających się pod sztandarem internacjonalizmu i rewolucji światowej, jeszcze przeszło 20 lat temu mówił: *„Rewolucjonistą* jest ten, kto bez zastrzeżeń, bezwarunkowo, otwarcie i uczciwie, bez tajnych narad wojennych gotów jest bronić ZSRR, gdyż ZSRR jest pierwszym na świecie proletariackim państwem rewolucyjnym, które buduje socjalizm. *Internacjonalistą* jest ten, kto bez zastrzeżeń, bez wahań, bez warunków, gotów jest do obrony ZSRR, ponieważ ZSRR jest bazą światowego ruchu rewolucyjnego a obrona i posuwanie naprzód tego ruchu są niemożliwe bez obrony ZSRR. Kto bowiem myśli o obronie światowego ruchu rewolucyjnego omijając i przeciwstawiając się ZSRR, ten kroczy przeciwko rewolucji, ten niechybnie wtacza się do obozu wrogów rewolucji". (Dzieła, t. 16, str. 51). Obrona ZSRR jest najwyższym obowiązkiem wszystkich internacjonalistów.

Kammari

WESELE WSPÓŁCZESNEGO BORYNY

(Dokończenie ze str. 3-ej)

— Ano nic. Kto pójdzie tańczyć, a kto spać...

— Wybieram to drugie. Czy na tym obiedzie wesele już się kończy?

— Gdzie tam. To zresztą jeszcze nie jest obiad. Obiad będzie dopiero wieczorem. A jutro rano poprawiny, ale już nie u młodej, tylko u nas.

Goście z Warszawy poszli do chałupy i legli na przygotowane dla siebie łóżko. W izbie pachniało mocno jabłkami, siennik był twardy, ciepła pierzyna. Zasnęli snem kamiennym.

✤

Zmierzchało już, gdy zastukano do drzwi i weszła Antosia.

— Wstawajcie, państwo. Niedługo obiad!

— Czuję, że zrezygnuję z obiadu — powiedziała rozespanym głosem żona gościa z Warszawy. — Może pójdziesz sam?

Antosia rozsiadła się na trzeszczącym krzesełku i leniwie odpowiadała na zadawane sobie pytania. Najchętniej rzuciłaby się, tak jak stała, na łóżko. Kiedy pomyślała o tym późnym „obiedzie" i jutrzejszych poprawinach, przechodziły ją ciarki. Nogi już miała obrzękłe od biegania.

Wzdrygnęła się na myśl o zmywaniu stert naczyń.

Do stołów poproszono późno. Sceneria była ta sama: tłok, przyśpiewki, to samo jadło i wódka. Grał tylko harmonista, pozostali dwaj muzykanci siedzieli wraz z gośćmi za stołem. Bębenkiem owładnął brat młodego, Czesław, i akompaniował nie w takt. W smudze cienia, ostrym klinem dzielącej światło, padające ze stodoły, zaczynała się zwada: brat Murczaka, co to poniechał małżeństwa w Michasią, rwał się do bitki z mężem Puchaczki, która nie chciała z nim tańczyć. Rozbraniano ich... Kobiety śpiewały:

„Wczoraj była u pszenicy, dzisiaj
u żyta, u żyta,
wczoraj była panieneczka —
dzisiaj kobita, kobita,
Oj da da!"

Zbliżały się oczepiny, które niemal do cna zatraciły dawną obrzędowość i przeszły niemal niepostrzeżenie. Podczas gdy dziewczęta śpiewały:

„My ciebie, Jasiuniu, nie chcemy,
nie chcemy,
Twój wianuszek z białej róży
w błoto wdepczemy..."

mężatki im odpowiadały chóralnie:

„My cię, Jasiuniu, przyjmiemy,
przyjmiemy,
Twój wianuszek z białej róży
za szkło włożymy!"

na to druchny:

„Kiedyście ją oczepili, to ją sobie
weście,
będzie wam sprzedawała
obwarzanki w mieście!"

I oto młoda miała już na głowie na wzór mężatek zawiązaną barwną chusteczkę. Była już gospodynią, mężatką, babą. Może dlatego uśmiech tak rzadko ukazywał się na jej pobladłej ze zmęczenia twarzy.

Zwyczaj nakazywał, że młodej zdejmują z nóg trzewik, który nowożeniec musi wykupić butelką wódki. Paru najbardziej wytrwałych opojów wlazło pod stół i przeciskając się między nogami biesiadników oraz rozmaitymi odpadkami z biesiady, wszczęło walkę o trzewik młodej. Ostatecznie panem złamanego półbucika został pan młody.

Jeszcze do stodoły wjechał na „ośle" — kroczącym na czworakach parobczaku, przyodzianym w kożuch, włosiem do góry — kilkoletni siostrzeniec młodej, ale już obiad dobiegał końca i młodzież coraz liczniej przenosiła się na deski. Miano tam tańczyć do rana.

✤

We wtorek były już tylko „poprawiny", na których pozostała jedynie bliższa rodzina i goście z miasta. Do śniadania podano w niedawno odbudowanej izbie rodziny młodego. Że była mniejsza od klepiska, więc tłok był niemal równie wielki. Tym razem gości z Warszawy usadzono obok gości z Pomorza, z prawej zaś zasiadł ów stary Hilary, co to odbył kampanię rosyjsko - japońską i wiele a chętnie opowiadał o laojanie, o zwyczajach chińskich i o swej ranie, w Mandżurii odniesionej.

Jadłospis potraw i napojów był ten sam z dodaniem nóżek w galarecie oraz marynowanych śliwek. Jedynie wódki było znacznie więcej — no, bo gości było znacznie mniej. Zaledwie zasiedli do stołu, zniknęły z niego dwie litrowe butelki, schowane przez biesiadników pod stół. Gość z Warszawy sądził, że był to żart, chodziło jednak o wycyganienie butelek zastępczych, by zwiększyć rację litra na cztery osoby... Młody jednak nie dał się na to nabrać. Oświadczył, że jeszcze jest przy zdrowych zmysłach, doskonale pamięta, że wódkę stawiał, a jeżeli ją schowali, to sami sobie winni: najwyżej nie będą pili.

Wobec tego butelki ukradkiem wróciły na stół.

Wraz z nalaniem pierwszych kieliszków zaczęły się przyśpiewki, jednakże bez akompaniamentu kapeli. Była to przyjemność zbyt kosztowna. Trzej muzykanci za swój wczorajszy występ wzięli 6300 zł.

„Dziś już nie wesele tylko
poprawiny,
wczoraj byłaś panieneczka,
dzisiaj gospodyni".

Młoda dziś była w lepszym humorze i nawet znalazła czas dla swych gości z Warszawy, którym użalała się, że „jakbyś się, człecze, nie starał — wszystkim nie dogodzisz. Później i tak cię obsmarują, żeś skąpił..."

Stary chłop w pasiaku obok gościa z Warszawy nie rwał się do wódki, ale gdy ten mu napełnił kieliszek, uśmiechnął się szeroko i trącił go porozumiewawczo łokciem. To — ci gratka! Na to i wesele! Zaśpiewał chropawym, jakby nadpękniętym głosem:

„Jestem Księżak spod Łowicza,
a szeroka nogawica,
a i szerokie rękawy,
ze mnie Księżak do zabawy!"

Temperatura zabawy szybko wzrastała. Już, usadziwszy tego i owego gościa na krześle, brano go „na ura" do góry, już przyśpiewki wybuchały nieskoordynowanie w kilku miejscach jednocześnie.

„Wszystkie kwiatki ładne, ładne,
najładniejsza astra,
Wszystkie druchny ładne, ładne,
najładniejsza starsza!"

Michasia przerwała na chwilę bieganinę między komorą a stołem i dała się namówić na wychylenie kieliszka. Czesław, mający słabą głowę, bronił się przed tym gwałtownie.

Młody stanął za gośćmi z Warszawy i szeptał im w ucho:

— Że ja się wczoraj na was patrzeć przy stole nie chciałem, to dlatego, że mi wstyd było za to ich zachowanie... Pan pół świata objechał, to i owo widział, więc i dziwić się musi na to zachowanie się naszych ludzi wiejskich...

— Och, to się zdarza i w mieście. Może jeszcze częściej — pocieszał go.

— Ale ich trzeba zrozumieć — bronił młody swych znajomków i sąsiadów. — Oni w czasie okupacji i w pierwszych latach powojennych nauczyli się pędzić i pić bimber. Pili go jak wodę, choć był mocny jak spirytus. I to im weszło w zwyczaj. Bo niektórzy to i odzwyczaić się nie mogą, jak ci na przykład — wskazał na zespół czterech z przeciwka.

Poprawiny się udały. Młody, Antosia, Michasia, Czesław, ich matka nie szczędzili gościom niczego: „Jedzcie, pijcie, używajcie — po kieszeniach nie chowajcie..." Sprowadzono ze wsi jakiegoś samouka-harmonistę i w opuszczonej szkole, zastępującej przejściowo dom ludowy, chciano urządzić tany. Chłodno tu było i brudno, podłoga dawno niezamiatana, toteż zaledwie kilka par kręciło się ospale. Drugą to już dobę trwało wesele i zmęczenie dobrze siedziało w kościach. W dodatku pogoda była na świecie i wszędzie wokoło ludzie orali, bronowali, siali...

— Dawniej — seplenił Hilary — inne były czasy, lepsze. Wesele trwało tydzień cały.

— Wesele trwało tydzień — wtrącił gość z Pomorza — a potem z długów nie wyłazili przez rok, albo i więcej. To mi wesele!

Hilary z blaszanego pudełka wydobył połówkę papierosa, obejrzał ją starannie, zapalił. Potem z nieprzeniknionym wyrazem zwiędłej pooranej bruzdami twarzy spojrzał na gościa z Pomorza.

Kobiety pozdejmowały swe świąteczne wełniaki i nagle jakbyś odarł rajskie ptaki z pierza. Stały się codziennymi, zalatanymi, zapracowanymi, szarymi, niepokaźnymi istotami. Chwytały za szkopek, za kosz na kartofle, za tę codzienną babską pracę, której nigdy końca nie widać.

Wesele się skończyło...

Jerzy K. Maciejewski.

STANISŁAW MARCZAK-OBORSKI

WŚRÓD JANKÓW-MUZYKANTÓW

W Warszawie, z dala od gwaru miasta, opada schodkami w stronę Wisły wąziutka szyja ul. Profesorskiej. Boczny zaułek oddycha własnym życiem; cały dzień w niespokojnym powietrzu wibrują dźwięki wszystkich możliwych instrumentów. To tutaj mieści się Państwowa Średnia Szkoła Muzyczna — nieuświadomiony cel marzeń chłopskich dzieci opętanych muzyką.

Któregoś dnia zatrzymał się przed szkołą nieoczekiwany w tej scenerii wehikuł — wóz drabiniasty spod Tomaszowa. Wysiadł z niego stary chłop w baraniej czapce i zażądał widzenia się z dyrektorem. Za przybyłym przepychała się trójka rosłych chłopaków.

„Przywiozłem wam do szkoły trzech synów. O niczym nie chcą słyszeć, tylko o muzykowaniu. Jakoś tam ich zaopatrzę — dajcie tylko dach nad głową i uczcie".

2.500 LISTÓW

Scena ta wywarła duże wrażenie na dyrektorze szkoły Kurkiewiczu. Już od jakiegoś czasu zastanawiał się nad znikowym procentem młodzieży wiejskiej w szkołach muzycznych (w Warszawie 8 procent). Stan ten wymagał radykalnej poprawy. O jego zmianę wołała wiekowa krzywda zapoznanych talentów „Janków — muzykantów"; domagała się konieczność regeneracji kadr muzycznych przetrzebionych przez wojnę; wzywała potrzeba wniesienia nowych treści klasowych do naszej kultury muzycznej.

Koło partyjne przy konserwatorium porozumiało się ze Związkiem Samopomocy Chłopskiej. Uradzono zarezerwować pewną ilość miejsc w szkołach muzycznych i ogłosić to w prasie chłopskiej.

Wkrótce w „Gromadzie", „Chłopach", „Zielonym Sztandarze" i innych pismach, a także w Polskim Radio — ogłoszono komunikat. Rezultat przeszedł najśmielsze oczekiwania. Już po kilku dniach zaczęły napływać setki listów — entuzjastycznych, błagalnych, natarczywych. Do maja 1949 r. wpłynęło przeszło 2.000 podań. Pisali młodzi muzykanci wiejscy, pisali samorodni śpiewacy; około 600 listów przysłały dzieci nie umiejące grać, ale chcące się po prostu czegoś uczyć.

Andrzej Koźniakowski z powiatu grójeckiego pisał: „Ze słuchu gram wszystko na pianinie i na skrzypcach... Gdybym się uczył od małego, to do tej pory bym był muzykiem, ale że jestem biedny sierota, bo nie mam ojca i mieszkam na wsi, to grywam sobie ze słuchu na skrzypcach. Jak się tu nauczyć grać, żeby pomóc mamusi?... Z żalem patrzę na fortepian, który jest zamknięty w pokojach po dziedzicu od reformy rolnej bez użytku do dzisiaj, a który mógłby służyć dla „Janków — muzykantów"

List nieco egzaltowany, ale z wyraźnym zacięciem literackim, przysłała 17-letnia Anna Kowarska z Siedlec. Opisuje w nim swoje tęsknoty artystyczne, pierwsze przeżycia muzyczne, jakie dał jej grający dziadek — krowiarz, zabity potem na pastwisku przez Niemców.

Wzruszające podanie małego grajka pokrzywdzonego przez życie: jest nieślubnym dzieckiem, co mu wszyscy wypominają; ma tak zwany „ogień" na twarzy, z którego wszyscy się śmieją. Jedyną nadzieją, rehabilitacją i zadośćuczynieniem jest dla niego muzyka.

Pisał ojciec niewidomego chłopca, odciętego od świata barw i kształtów, żyjącego jedynie w krainie dźwięków.

Maria Fiałkówna z pow. lubartowskiego pisze: „Strasznie zamiłowana jestem grać na skrzypcach, śpiewać i tańczyć... Więc ja bym bardzo prosiła o opisanie warunków i czy będę mogła być przyjęta na te kursa... Proszę natychmiast odpisać..."

11-letni muzykus zagroził ojcu, że ucieknie z domu, jeśli nie zawiozą go do szkoły w Warszawie.

PRZEŁOMOWY KONKURS

Na wszystkie listy odpowiedziano. Na początek wyłowiono 100 najciekawszych i zaawansowanych paroletnią grą dzieci. Zaproszono je na publiczny egzamin do Warszawy.

Niektórzy po 50 — 60 km. drałowali na piechotę. Stanęli wreszcie przed wielkim gmachem Związku Samopomocy Chłopskiej na pl. Starynkiewicza. Dzieci dostały jeść, przeszły przez badania lekarskie, zostały prowizorycznie zakwaterowane. Warszawa zainteresowała się swoimi przyszłymi sławami. Zaczęto przysyłać wiktuały, jakaś Centrala Handlowa zaofiarowała... beczkę kapusty, zgłaszano pomieszczenia; ktoś chciał jednak koniecznie naprzykład chłopca, ktoś inny zapragnął dziecka, ale właśnie w wieku lat 12, jeszcze ktoś życzył sobie akurat skrzypka i t.p.

Na egzamin zaproszono ludzi ze sfer rządowych, artystycznych, wojskowych itd. Pytania obejmowały próbę słuchu i wrażliwości muzycznej (poczucie rytmu, słuchu, orientacji dźwiękowej) oraz stopień zaawansowania muzycznego. I po raz drugi rezultat przeszedł najśmielsze oczekiwania.

W tej gromadzie biednie ubranych dzieciaków i wyrostków wiejskich, z czarnym brudem za paznokciami, zaopatrzonych w okropnie zdezelowane instrumenty — odkryto zdumiewające talenty. Wielu zdawało na piątki ze wszystkich przedmiotów. Stopień zaawansowania był oczywiście bardzo różny: od dzieci, które znały tylko organy i pierwszy raz w życiu widziały fortepian — do 17-letniego Władysława Pichewskiego, który wystąpił z „Romansem" z koncertu skrzypcowego Wieniawskiego.

Syn rolnika z lubelszczyzny 25-letni Stanisław Kupica nie tylko gra, ale również maluje i pisze. Do słów jego „Pieśni ludowej" Jan Maklakiewicz napisał już muzykę.

14-letni Zbigniew Szczęsny dostał skrzypce na gwiazdkę od siostry ciotecznej. Popisywał się grą na nich, a także na harmonii.

Bogdan Łukasiewicz, syn nauczycielki ludowej, był w 1943 r. wAłcie. Nauczył się tam grać na bałałajce, następnie akompaniował na gitarze, obecnie opanował już mandolinę, akordeon, skrzypce i fortepian. Wibruje, ma absolutny słuch.

Jedną z najpopularniejszych postaci konkursu był 11-letni Roman Zdanowicz; malutki zakutany w kożuszki, z harmonią — najnędzniejszą chyba wśród harmonii świata. Przed występem umacniał klawisze, gorączkowo kleił instrument papierem, żeby powietrze nie uciekało. Egzamin zdał świetnie.

Tragiczny epizod małego ślepca. Stwierdzono zdolności muzyczne, ale nie umiano znaleźć dla niego miejsca. W bursie z normalnymi dziećmi nie można było go umieścić. Instytut Ociemniałych nie chciał się nim zainteresować. Chłopak krzyczał rozpaczliwie w gabinecie organizatorki w Związku Samopomocy Chłopskiej, szukając jej bezradnie po pokoju.

W rezultacie egzaminu zakwalifikowano:

do klasy fortepianu	— 10 osób
skrzypce	— 8 osób
wiolonczela	— 2 osoby
trąbka	— 5 osób
klarnet	— 2 osoby
flet	— 1 osobę
waltornia	— 2 osoby
kontrabas	— 5 osób
puzon	— 2 osoby
do klasy śpiewu	— 3 osoby

O konkursie rozpisała się prasa. Po pierwszym artykule Wiktora Woroszylskiego: „Królikowski gra sam ze siebie" w „Trybunie Ludu" — posypały się entuzjastyczne opinie w wielu pismach. Prezydent Bierut ofiarował kilka stypendiów dla najzdolniejszych, Marszałek Żymierski — wyekwipowaną bursę dla kilkudziesięciu chłopców. Świat muzyczny zebrał instrumenty wartości miliona złotych. Rozpoczęto gromadzenie pieniędzy w ramach Funduszu Stypendialnego Chopinowskiego, korzystając ze zbiórek ulicznych, subwencji Ministerstwa Kultury i Sztuki, Zw. Samopomocy Chłopskiej, C.R. Zw. Zawodowych i Zw. Młodzieży Polskiej.

Po pierwszym konkursie (31 stycznia — 1 lutego 1949 r.) odbył się jeszcze drugi w Warszawie, a potem podobne: w Lublinie, Krakowie, Olsztynie, Poznaniu, Katowicach — dla dzieci z tamtych województw.

Zasadniczo postanowiono zgromadzić muzykantów w dwu punktach: w Warszawie (bursa na ul. Podchorążych) i w Krakowie (bursa na ul. Paryskiej, w dawnych koszarach K. B. W.).

Nie wszyscy uzdolnieni mogli się od razu zmieścić w konserwatoriach. Część skierowano do zespołów muzycznych „Służby Polsce", część do Państwowego Zespołu Mazowieckiego Pieśni i Tańca w Karolinie (gdzie uczą się równocześnie gry na fleciku, śpiewu, i tańca). Starszych oddano na kurs akcji świetlicowej Zw. Samopomocy Chłopskiej, aby wyszkolić z nich przodowników amatorskiego ruchu muzycznego — świetlicowego, kulejącego dotychczas.

MUZYKA NA UL. PODCHORĄŻYCH

Po konkursie dzieci wróciły do domu na wieś, aby czekać na rozpoczęcie roku szkolnego. Nie mogły się doczekać! Opisał to soczyście wspomniany już Roman Zdanowicz z pow. Piła, w liście do konserwatorium: „Byłem w Warszawie w Szkole Muzycznej Samopomocy Chłopskiej, na egzaminie ze swoim muzycznym instrumentem i zdałem egzamin i dostałem piątkę, przyjechałem z tatusiem do domu i dotychczas nie mam żadnej wiadomości... smucę się bardzo, bo nie mam żadnej wiadomości kiedy mam przyjechać do nauki... liczę siebie nieszczęśliwego, że ze mnie wszystkie dzieci śmieją się, że ja nie wyjeżdżam do nauki... Z niecierpliwością czekam odpowiedzi wkiedy mam przyjechać do nauki".

Nadeszła wreszcie jesień. Chłopcy zostali zawiadomieni, że do 15 października mają stawić się w Warszawie. Rozpoczął się rok szkolny w Średniej Szkole Muzycznej.

Lekcje to jednak nie wszystko. Trzeba się do nich przygotować, a przede wszystkim trzeba gdzieś mieszkać. W rozwiązaniu tej kapitalnej kwestii dopomogło wojsko. Marszałek Żymierski ofiarował na bursę barak nr. 2 w koszarach na ul. Podchorążych. Warunki napewno nie luksusowe, ale i nie najgorsze. Murowane pomieszczenie składa się z trzech salek: dużej świetlicy i dwu mniejszych pokoików bocznych. Ponieważ rozpiętość wieku elewów jest znaczna: od 11 do 20 lat — młodszych umieszczono w dużej sali, a starszych, po paru, w pokoikach. W każdej z trzech izb stoi pianino, muzyczny barak rozbrzmiewa cały dzień ćwiczebnym jazgotem wszystkich instrumentów. Mieszka tu około 30 chłopaków, a każdy chce skorzystać jak najwięcej. Są wybrańcy z konkursu, są starsi uczniowie szkoły, są też „uciekinierzy" z Zespołu Mazowieckiego w Karolinie. Nie mieli zaufania do tamtej nauki, która przygotowuje grupę występowiczów — to rzecz niepewna; każdy zespół może się rozlecić, a oni chcą zdobyć zawodowe, (pełne wykształcenie muzyczne.

Kierownik kursu (trzydziestoparo letni pianista) chwali swoich wychowanków: element moralnie zdrowy; chłopcy wiejscy nie przypominają lumpowskich wyrostków; są szczerze rozmiłowani w muzyce, chcą się naprawdę uczyć.

Kłopotów oczywiście nie brak: chłopaki myją się pod dosyć odległą od baraków pompą; wewnątrz pokutują jakieś antyczne piece, które należałoby wymienić; przed zimą barak trzeba by podwójnie otynkować.

Kierownik chciałby w życiu bursy pogodzić wymogi dyscypliny z artystyczną naturą chłopców. Jedenastoletni muzyk przechadza się zadumany po sali w wełnianej mycce na głowie. „Zdejm czapkę, w domu jesteś" — powiada przełożony. Chłopak myśli przez chwilę i poważnie zdejmuje beret.

Młodszych trzeba było poza tym ulokować w szkole ogólnokształcącej. W Warszawie nie zawsze jest to łatwo, ale jakoś się udało.

Uczniowie są zadowoleni z bursy i nauki. Dostali nowe instrumenty, wyżywienie mają dobre („co dzień kompot!"). Jadają w estetycznie urządzonym Kasynie Oficerskim.

POZNAJMY PARU „BURSIARZY"

Klasycznym typem „Janka-muzykanta" jest 15-letni Krzysztof Ślusarz, syn półtora hektarowego chłopa z Lubelszczyzny. Od 7-ego roku życia grywał na skrzypcach, które sam wycinał z drzewa. Ojciec mu początkowo zabraniał, ale widząc upór chłopca kazał zrobić stolarzowi-sąsiadowi skrzypki dla syna. Po trzech latach kupił mu prawdziwe skrzypce. Chłopak, całą duszą zakochany w muzyce, zaczął chodzić po weselach i zabawach, wygrywając polki i oberki. Znajomek przeczytał komunikat o szkole muzycznej — zawiadomił chłopca. Krzysztof pierwszy raz w życiu jechał pociągiem na konkurs do Warszawy — dotąd pędził życie na głębokiej wsi — 20 km. od Parczewa. Jest piątkarzem, jednym z najzdolniejszych w bursie.

Waldemar Kulfan ma 20 lat i piękny, silny tenor. Pochodzi z białostockiego, był robotnikiem-tkaczem, matka wdowa — także robotnica. W domu bieda. Chłopak był znany w okolicy ze swego talentu, kierownik świetlicy fabrycznej zwrócił na niego uwagę i wróżył mu przyszłość artystyczną. Kulfan gra ze słuchu na różnych instrumentach, jest członkiem ZMP.

Przewodniczącym Koła ZMP na terenie szkoły jest Władysław Kwiatkowski, 20-letni skrzypek, syn emerytki mieszkającej na Kole. Jego „historia" zaczęła się od tego, że kolega przyniósł kiedyś mandolinę. Bardzo się to Władkowi podobało, ale wnet zapragnął skrzypiec. Jeszcze przed wciągnięciem do organizacji zajęli się nim ZWM-owcy. Przygarnęli go do siebie do Domu Akademickiego, bo w mieszkaniu grać nie mógł z powodu ciasnoty i braku światła (lampa naftowa). Od czterech lat uczy się w Szkole Muzycznej.

11-letni Henryk Wesołowski pochodzi z okolic Włocławka, gdzie rodzice mają 5-cio morgowe gospodarstwo. Umie grać na harmonii, a teraz opanowuje fortepian.

Na klarnecie uczy się grać inny były harmonista Jarosz...

St. Marczak - Oborski

(d. c. n.)

FRANCISZEK HALAS

1901 — 1949

PIEŚŃ NIEPOKOJU

Ileś razy mój wierszu
ileś razy utykał
w miłości bólu rzeczywistym
lecz osobistym
ileś razy mój wierszu
brzmiał taneczną muzyką

A teraz idź mój wierszu
idź krokiem zbrojnym
w pochodzie wojny

Rytmem piechoty brzmijcie słowa
w bojowym szyku
w niepokoju krzyku

Dzwoni dzwoni zdrady dzwon
zdradą dzwoni
Czyjeż go ręce rozhuśtały
O Francjo słodka cny Albionie
Czechy was tak kochały

Widziałem mokre kobiet oczy
Widziałem pięści zaciśnięte
Wnet już gdy czas się ten przeto-
czy
poznacie niepojęte

Ty wszechmogąca mórz królowo
to morze łez to nasze lica
dojrzeje wkrótce gniewu owoc
nadziei brzęczy już kotwica

Dzwoni dzwoni zdrady dzwon
zdradą dzwoni
Czyjeż go ręce rozhuśtały
O Francjo słodka cny Albionie
Czechy was tak kochały

Ty Francjo słodka ty Marianno
frygijską czapkę swoją podaj
Słoneczny szczyt twój roztrza-
skano
i hańbą cuchnie twoja zgoda

Noc w schronach ciemnych i oko-
pach
i w ziemi krwi brzmi tętno
do ciebie świecie do ciebie Europo
ostatni żołnierz wstręt ma

Dzwoni dzwoni zdrady dzwon
zdradą dzwoni
czyjeż go ręce rozhuśtały
O Francjo słodka cny Albionie
Czechy was tak kochały

Pole nasze krzyczy Zdrada
Lasy nasze trzeszczą Hańba
Rzeki nasze szumią Zdrada
Góry nasze huczą Hańba

A teraz cisza Stąpa Głos
O duszo ludu takiż głos
Geniuszu ziemi naszej
na skrzydłach twych
łez pełno które ronim
Geniuszu ziemi naszej
w godzinach złych
miecz twój niech wnet zadzwoni

(1938)

Przed kilkoma dniami zmarł w Pradze Franciszek Halas, jeden z najwybitniejszych współczesnych poetów czeskich. Śmierć Halasa jest dla nas tym boleśniejsza, że położył on olbrzymie zasługi na polu zbliżenia kulturalnego narodów polskiego i czeskiego.

Halas debiutował w r. 1927 zbiorkiem zatytułowanym „Sepie". W latach następnych opublikował kilkanaście oryginalnych tomików poetyckich i wiele przekładów. Za własną twórczość poetycką został odznaczony w ludowej Czechosłowacji tytułem Artysty Narodowego.

Halas przyswoił kulturze czeskiej wiele arcydzieł poezji polskiej. Przetłumaczył m. in. „Pana Tadeusza", „Dziady", „Grażynę" i „Konrada Wallenroda" Mickiewicza. W r. 1947 odznaczony został przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej orderem „Odrodzenia Polski" za zasługi położone dla sprawy pogłębienia przyjaźni polsko-czechosłowackiej. W r. 1948 otrzymał nagrodę Polskiego Pen Klubu za niezrównane przekłady dzieł Mickiewicza.

Żegnamy w Halasie wielkiego przyjaciela Polski, jednego z najwybitniejszych liryków współczesnej Czechosłowacji, pisarza, który stanął po stronie walczących mas ludowych, a literaturze wskazał drogę służby: „poeci, naszą nadzieją lud".

WIERSZE

Wyschły z pragnienia gniewu
za wami, biedni, kroczę,
straciłem źródło śpiewu
i więcej go nie zoczę.
Wyschły z głodu tęsknoty
pragnę już tylko krzyczeć,
długi był czas niemoty,
tego się nie doliczę.
Spalony ogniem grozy,
który podpala ciemność,
chcę wierzyć i chcę tworzyć
jak inni razem ze mną.
Wygnany z kraju marzeń
Schronienia szukam w tłumie
pieśń ma z przekleństwem w parze
bo innej już nie umiem.

(1936)

przełożył K. A. Jaworski

im. L. W. w Łodzi

MARIA JANION

DROGA DO PARTII*)

Izydor Koszykowski

ŻYCIORYS KLASY ROBOTNICZEJ

W laboratorium nowej literatury niezmiernie doniosłą rolę odgrywają pamiętniki robotnicze, których kilka opublikowano w ostatnich latach. Stanowią one nie tylko bezcenny materiał dla historyka i pisarza, ale same rewolucjonizują literaturę, wprowadzając do niej jako podstawę osądu i miarę wartości, jako teorię artystycznego widzenia świata — doświadczenia rewolucyjnego proletariatu, tworząc nowy typ bohatera powieściowego, przyswajając ogółowi historię przodującej klasy. Mniej lub bardziej zbeletryzowane wspomnienia robotników stanowią dziś przodującą pozycję nowej literatury.

Dotychczas opublikowane lub bliżej udostępnione pamiętniki nie objęły jednak jeszcze wszystkich ważnych ogniw historii polskiej klasy robotniczej.

Najpełniejszy stosunkowo obraz w literaturze pamiętnikarskiej zyskały początki walki rewolucyjnej proletariatu. „Stare i nowe" Lucjana Rudnickiego i „Wspomnienia starego robotnika" Olbrzymka — oto książki, które ukazały typowy, modelowy niemal wzór drogi życiowej robotnika — rewolucjonisty na przełomie XIX i XX w. Koleje życiowe Rudnickiego i Olbrzymka pokryły się z elementami wielkiego życiorysu klasy robotniczej.

Typowa droga w okresie kształtowania się polskiego proletariatu: ze wsi do miasta wprowadza Rudnickiego w szeregi klasy robotniczej przez wielki przemysł łódzki, a Olbrzymka— przez proletaryzujące się warszawskie rzemiosło. Pamiętniki obydwu działaczy i pisarzy uzupełniają się wzajemnie. Nie są to zresztą tylko dokumenty przeciętnego, „szarego" życia członka nowej klasy. Wielka polityczna historia proletariatu, historia partii i jej walki wchodzi głęboko w te życiorysy. Naczelne problemy życia ówczesnego proletariatu, zasadnicze zagadnienia ruchu rewolucyjnego znalazły swoje odbicie we wspomnieniach odbydwu pisarzy. Weszły tam nie w formie relacji i komentarza, lecz jako treść przeżyć i doświadczeń autorów.

Mimo odmiennych kolei życiowych i Rudnicki i Olbrzymek przebyli podobne, jakże typowe etapy partyjnej ewolucji (od PPS do SDKPiL), podobne drogi rewolucyjnego samokształcenia (kółko i studia więzienne), zdobyli podobne doświadczenia działacza, więźnia, zesłańca. Żywot klasy znalazł na kartkach wymienionych pamiętników bogate odbicie.

Inne losy robotnicze, również modelowe, choć utrwalone w mniej interesującym kształcie artystycznym, dadzą się odnieść do czasów niezbyt dalekich. Mowa o pamiętniku pt. „Na Uralu" pióra Józefa Boka, robotnika polskiego, przebywającego w ZSRR. w latach 1940/45, odtwarzającego doświadczenia klasy robotniczej podczas zmagań z faszyzmem. Dzieje „walki na tyłach" zostały tu ukazane na tle pasjonujących osiągnięć w dziedzinie współzawodnictwa, opanowania nowych metod pracy itp. Pamiętnik Boka streszcza pewien zakres ważnych doświadczeń, typowych dla określonego etapu historycznego.

Niestety, dotychczas jednak nie wydobyto i nie opublikowano równorzędnych pamiętników, dotyczących wielkiej historii polskiej klasy robotniczej w okresie 20-lecia. Okres ten, szczególnie ważny, a niewyświetlony dotąd należycie przez historyków i pisarzy, przekazuje doniosłe doświadczenia proletariatu na odcinku zmagań z narastającym faszyzmem.

Materiały pamiętnikarskie, odnoszące się do tego rozdziału historii są wprawdzie dość bogate — przedwojenne „Pamiętniki bezrobotnych", „Życiorysy górników", wreszcie „Pamiętniki robotników z czasów okupacji" zahaczają także ubocznie o interesujący nas okres. Wśród tych obfitych, niejednokrotnie cennych materiałów, trudno jednak znaleźć pamiętnik, któryby szerokością widzenia świata, umiejętnością tworzenia pisarskich uogólnień losu ludzkiego, zrozumieniem sensu opisywanych wydarzeń, równywał książkom Rudnickiego i Olbrzymka. Działały tu zresztą inne względy. Narzucone przez organizatorów konkursu fałszywe założenia skrzywiły w dużej mierze obraz walki klasowej u wielu spośród autorów „Życiorysów górników". „Pamiętniki bezrobotnych" uległy surowej korekcie ze strony wydawców. Krzywicki w przedmowie pisał: „uwaliśmy spotykane, acz nieliczne porachunki natury partyjnej, zupełnie obojętne dla treści pamiętników").

„DZIECKO ULICY"

Istniejącą lukę wypełnia w pewnym mierze cenny pamiętnik IZYDORA KOSZYKOWSKIEGO pt. „DZIECKO ULICY"*) Zaznaczyć jednak należy, że nie jest to w pełnym tego słowa znaczeniu „pamiętnik robotniczy". O wartości jego stanowi fakt, że ukazuje on właśnie trudną a dłuższą zawiłą drogę do proletariackiej świadomości klasowej, do partii, do rewolucyjnej walki „dziecka ulicy" — małego znajdy, chodzącego długie lata marginesami walczącego proletariatu. Ten właśnie charakter losów Koszykowskiego posiada w pewnej mierze walor typowości dla obrazu życia klasy robotniczej w okresie, gdy kruszy się prosperity wczesnego etapu rozwoju polskiego kapitalizmu.

Wspomnienia Koszykowskiego pisane były przed grudniem 1926 roku. Przy końcu tegoż roku został Koszykowski członkiem i działaczem Komunistycznej Partii Polskiej, w jakiś czas potem otrzymał stałą pracę w Miejskich Zakładach Komunikacyjnych. Z tego nowego okresu życia Koszykowskiego wspomnień już nie posiadamy.

Etap „przedproletariacki", który tak szybko skończył się u Rudnickiego i Olbrzymka, trwa u Koszykowskiego wiele długich, żmudnych, ciężkich lat. Warunkują to — tylko w części typowe — losy „dziecka ulicy". Koszykowski terminuje przez wiele lat w małym, zacofanym warsztacie metalurgicznym; w fabryce pracuje bardzo dorywczo i chwilowo, okresy przewlekłego bezrobocia wyrzucają go stale na bruk. Do 1926 r. Koszykowski pozostaje z dala od wielkich skupisk proletariatu, które tak przyśpieszają procesy uświadomienia klasowego, z dala od partii. Stąd jego droga do rewolucyjnej świadomości proletariackiej jest trudna, przewlekła.

Młodość Rudnickiego (ur. 1882) i Koszykowskiego (ur. 1901) przypadła na inne, odmienne etapy rozwoju kapitalizmu w Polsce. Rudnicki, chłopak ze wsi, zostaje wchłonięty „bezboleśnie" przez tryby wielkiego przemysłu w okresie względnie jeszcze spokojnego rozwoju kapitalizmu. Przypomnijmy sobie wędrówki po Łodzi chłopca, pełnego zachwytu dla miejskiej nowoczesnej techniki. Nie grozi jeszcze widmo masowej redukcji, nie rozpętały się jeszcze w pełni na tych ziemiach wielkie kryzysy kapitalistyczne. Na wczesne dzieciństwo i młodość Koszykowskiego przypadają ciężkie lata potężnych kryzysów i masowego bezrobocia. Zarysowuje się wówczas okresowo proces odwrotny, niż ten, który wystąpił w pełni w okresie kształtowania się polskiej klasy robotniczej. Teraz z kolei miasto wypycha setki i tysiące bezrobotnych na wieś. Głodną falą przepływają przez wynędzniałe wsie dwudziestolecia, ulegając złudzeniom, że „na wsi zawsze łatwiej". Zjawisko to przybiera wymiary masowe; mówią o tym i „Pamiętniki bezrobotnych" w odniesieniu do kryzysu lat 1929/31. Wśród emigrujących na wieś w latach 20-tych znajdzie się i Koszykowski. Potężne wstrząsy kapitalizmu w stadium imperialistycznym uderzają boleśnie w klasę robotniczą, poddając ją niszczącemu działaniu głodu, nędzy, bezrobocia. Bezrobotny, pozbawiony nadziei wydarcia się z dna, Izydor Koszykowski usiłuje dwukrotnie popełnić samobójstwo: raz samotnie, drugi raz — z żoną i dzieckiem.

DO REWOLUCYJNEJ ŚWIADOMOŚCI

Częsta degradacja życiowa do pozycji lumpa, różne etapy biografii, gdy Koszykowski ulega naciskowi ideałów drobnomieszczańskich, gmatwają drogi rozwoju jego rewolucyjnej świadomości klasowej.

U Rudnickiego i Koszykowskiego zupełnie różnie ukształtowały się koleje i charakter ich samouctwa. Rudnicki i jego towarzysze zdobywają wiedzę jako skuteczny oręż w walce klasowej. We wspomnieniach Koszykowskiego rozszerzanie horyzontów umysłowych nie jest, jak u Rudnickiego, umacnianiem się na zajmowanych pozycjach światopoglądowych i politycznych.

Skonfrontujmy przełom religijny w obu pamiętnikach. U Rudnickiego walka ze światopoglądem religijnym jest rewizją filozofii, którą wyznaje wroga klasa. Światopogląd ten pęta i utrudnia narzucone przez nowe warunki życiowe działanie, wymagające nowej broni ideologicznej. Światopogląd religijny zostaje odrzucony praktycznie, zanim Rudnicki przyswoił sobie światopogląd walczącego proletariatu, zanim w pełni zaprzeczył wszystkiemu, co „stare". Dyskusja z religią wypływa z konkretnych potrzeb walki klasowej. Zupełnie inaczej przebiegał ten proces w sytuacji Koszykowskiego. „Dziecko dobroczynności" wychowane zostało przez pobożne zakonnice, które wpoiły mu zakłamaną filozofię pokornego ubóstwa i wiary w „Opatrzność". Przełom religijny zachodzi u Koszykowskiego na drodze demaskowania obłudy tego światopoglądu. Konfrontacja twierdzeń modlitewników z doświadczeniami jego udręczonej młodości odsłania nie tylko ponurą absurdalność „pociechy religijnej", lecz i życiowy sens kierunku jego edukacji w przytułku: „Modlitwy moje płynęły w przestworza, nie przynosiły mi żadnej ulgi, ani nawet nadziei", „O Boże, jaki ten Twój krzyż ciężki! A może Cię, Boże nie ma, może Cię stworzono dla fantazji, by ktoś na Tobie zarabiał grubo, a innych oszukiwał? Gdyż ci, co głoszą Twe nauki, żyją świetnie zamiast Cię naśladować jako ubogiego Chrystusa. A może Ty jesteś ich parawanem? Bo naprawdę gdybyś istniał, to byś spojrzał na mą niedolę i na nasze męczarnie".

Chwiejność światopoglądowa przejawia pamiętnik Koszykowskiego. Akcenty pesymizmu, goryczy, rozpaczy nie schodzą z kart książki. W różnych wariantach powtarza się myśl zasadnicza: „Życie moje jest zagadką nawet dla mnie i zostanie nią do zgonu... Oby nie było dnia, gdym ujrzał ten piękny świat! Piękny, ale nie dla mnie...", „A dzisiaj umieram z głodu w zapomnieniu. Ja, dziedzic nazwiska ulicy, który urodził się nie wiem po co i żył nie wiem po co". W autobiografii Koszykowskiego nie brak jednak dobitnych przejawów ostrego klasowego widzenia rzeczywistości kapitalistycznej. Do majstra, zapraszającego go na wigilię, wygłasza takie przemówienie: „Ja wiem, że musiałbym panu życzyć, żeby pan był bogatszy, a przecież im pan będzie bogatszy, to ja będę biedniejszy... Albo wszystkich podzielić na równo i będzie sprawiedliwie, bo nie byłoby wyzyskiwanych i wyzyskiwaczy". Jednak spotykamy też w pamiętniku niejednokrotnie zrozumienie dla drobnomieszczańskich ideałów życiowych, marzenie o pozycji rzemieślnika, o własnym „dorobieniu się", próby zadomowienia się i utrwalenia w środowisku drobnomieszczańskim.

W okresie pierwszej wojny imperialistycznej staje Koszykowski na pozycjach patriotycznego drobnomieszczaństwa. Myśląc o „odbudowie Polski", wiąże z tym nadzieje na jakąś automatyczną poprawę losu „biednych", na jakąś nieokreśloną „sprawiedliwość". Problemu walki narodowo-wyzwoleńczej nie widzi w kategoriach klasowych. Koszykowski zdaje się nic nie wiedzieć o wybuchu i konsekwencjach Wielkiej Rewolucji Październikowej. Jako ochotnik bierze udział w wojnie lat 1914/18 i w wojnie r. 1920. Trzeba dopiero dłuższego pobytu w wojsku na tyłach frontu i w czasie pokoju, aby pasja i świadomość oszustwa wybuchły z całą siłą. „Ja poszedłem z patriotyzmu, ale skoro żeście, panowie, obiecywali, to wobec tego dotrzymujcie, bo i mnie się należy sprawiedliwość", „Pomyślałem: chciałbym teraz wojny. Pierwszymi wrogami byliby nie żołnierze z drugiej strony, lecz sami najbliżsi swoi".

Przełom religijny i pobyt w wojsku, będący wielką lekcją polityki — oto najdonioślejsze momenty w kształtowaniu się rewolucyjnej świadomości klasowej Koszykowskiego. Przed r. 1926 jest on jednak człowiekiem, którego poczucie krzywdy i pragnienie walki nie zostały jeszcze ujęte w karby i sprowadzone we właściwe łożysko przez rewolucyjną teorię i praktykę proletariacką. Stąd nawet w momencie, gdy widzi swą krzywdę i pragnie walki, nie rozumie w pełni mechanizmu świata. W narracji pamiętnikarskiej potężna gniewna pasja klasowa splata się z drobnomieszczańskim sentymentalizmem. Uderza brak umiejętności uogólnienia osobistych doświadczeń, którą w tak wysokim stopniu posiadali starzy aktywni działacze robotniczy — Rudnicki i Olbrzymek. W pamiętniku Koszykowskiego nie widać szerszego tła dziejących się rzeczy. Koszykowski nie umie jeszcze pokazać w pełni spraw innych ludzi.

Na treść pamiętnika składają się głównie wynurzenia indywidualne; tylko swoje osobiste losy jest Koszykowski w stanie przemyśleć i zrozumieć. Dlatego przywiązuje on wielką wagę do pewnych elementów swej biografii, które posiadały dla jego losów znaczenie doniosłe, nie mają jednak waloru typowości. Koszykowski skłonny jest naogół przeceniać znaczenie swego niewiadomego pochodzenia, swej pozycji podrzutka.

Tytuł pamiętnika (pochodzący zresztą zapewne od redakcji) „Dziecko ulicy", a przede wszystkim gorzkie partie zwierzeń osobistych zdradzają, że Koszykowski nieraz bliski jest myśli, iż jego nieślubne pochodzenie warunkuje wszystkie nieszczęścia i niepowodzenia życiowe. „Bo my, dzieci księżyca i ciemnej nocy, jesteśmy wyrzuceni poza nawias życia ludzi rodzinnych. My tylko widzimy przez okna, jak siedzi rodzina przy stole..." Jednak przyszły rewolucjonista z czasem zapomni o swym pochodzeniu.

W literaturze dwudziestolecia, literaturze okresu wielkich wstrząsów i katastrof imperializmu, temat marginesu społecznego, bezrobotnych, lumpów i wszelkiego typu „dzieci ulicy" należał do bardzo popularnych. Stanowił znakomite pole eksploatacji dla literatury mieszczańskiej. Fascynująca, sensacyjna „nędzologia", szerokie możliwości dla smaczków pornograficznych, dla demaskowania „zwierzęcia ludzkiego", a nade wszystko pozór radykalizmu, przy pewności uniknięcia niebezpiecznych raf problemu „proletariat", należały do wybitnych zalet tematu, a uznaniem przyjmowanego przez mieszczaństwo.

Dla uwydatnienia kontrastów między tą literaturą a „Dzieckiem ulicy" Koszykowskiego posłużyć mogą najlepiej „Dzieci ulicy" i „Jestem głodny". G. Finka. Jego „dzieci ulicy" to lumpy, zrujnowani drobni posiadacze, często staczający się w szeregi lumpenproletariatu bezrobotni. Fink ukazuje nieuchronny już upadek moralny opisywanych kręgów. Beznadziejny pesymizm, brak sił i chęci do walki, metna filozofia „naturalnej" konieczności nędzy, stwarzają klimat, w którym z łatwością mógł żerować faszyzm, oplątujący pewne odłamy klasy robotniczej, rozbrojonej często okresem bezrobocia i wieloletnią polityką socjaldemokracji. Bohaterowie Finka to nie są ludzie, zdolni do walki o prawa własne lub cudze, nie a to już nawet ludzie pragnący pracy. Ich jedyne beznadziejne marzenie to „dobrze, wykwintnie żyć".

Koszykowski reprezentuje gruntownie przeciwną postawę, charakterystyczną także i dla wielu z „Pamiętników bezrobotnych". Wejście czy powrót do proletariatu traktuje się tu jako właściwy awans społeczny. Pamiętnikarze za wszelką cenę chcą uzyskać pracę. Bezustannie powtarza się wołanie: „Dajcież nam pracy! chleba! Dajcież nam prawo do życia!... ręce nasze pożądają pracy... pragną pracować, tworzyć, budować!..." („Pamiętniki bezrobotnych") Nawet spisywaniu wspomnień, zajęciu znienawidzonych „wolnych chwil", bezrobotnego, przyświeca myśl, że może przyda się to dla znalezienia pracy. Koszykowski stwierdza: „...ja piszę po to, by znalazł się człowiek, który by mi dał pracę. Ach tę pracę, pracę nieszczęsną, którą tysiące ludzi pragnie". Koszykowski i wielu z bezrobotnych reprezentują środowisko, którego kryzys i nędza życia nie złamały, nie zwiodły z drogi proletariackiego obowiązku. W końcu roku 1926 Koszykowski wstępuje do Komunistycznej Partii Polski. Pamiętników, dotyczących tego etapu, nie posiadamy.

Swe rozpaczliwe wynurzenia kończy Koszykowski w grudniu 1926 roku słowami: „Jeśli będę żył, to kiedyś znów się przypomnę i opiszę dalsze losy mego życia". Przypomniał się narodowi udziałem w warszawskim strajku tramwajarzy w r. 1931, walką z okupantem, wreszcie bohaterską śmiercią wśród 50-ciu powieszonych przez Gestapo PPR-owców i Gwardzistów w październiku 1942 r. Ten etap życia nie znalazł jednak odbicia w pamiętnikach zepchniętego w podziemia konspiratora. Dlatego źle się stało, że w „Słowie wstępnym" nie zebrano bardziej wyczerpujących informacji o życiu Koszykowskiego po r. 1926. Pozwoliłoby to uzyskać pełny obraz dziejów bohaterskiego, proletariackiego „dziecka ulicy".

Koszykowskiemu nadano nazwisko od nazwy ulicy, na której znaleziono podrzutka (ul. Koszykowa). „Jedno mi jest wiadome: matką była mi brama Warszawy, a ojcem — ulica, ponieważ otrzymałem nazwisko ulicy".

Mały znajdek przyniósł jednak zaszczyt swej warszawskiej rodzinie. I kto wie, czy w odwecie historii, na fali wielkiego awansu wszystkiego, co najcenniejsze, a co dotąd zepchnięte było na dno dziejów narodu, nie należałoby tej ulicy warszawskiej przemianować z kolei na ulicę Izydora Koszykowskiego.

Maria Janion

*) Izydor Koszykowski, Dziecko ulicy. Słowo wstępne Adama Polewki. Książka i Wiedza, Warszawa, 1949 r.

Skoczylas — Rudery Warszawy

STANISŁAW CIEŚLAK

W WALCE Z BOGACZAMI WIEJSKIMI

1. WZROST ZAMOŻNOŚCI WSI

Z roku na rok rośnie w Polsce Ludowej produkcja rolna. Pomyślne zbiory zwłaszcza r. 1948 i 1949 oraz znaczny wzrost pogłowia zwierzęcego i jego wydajności (przy stałych, opłacalnych cenach rolniczych) sprawia, że rośnie stale i wartość produkcji rolnej.

Wartość produkcji gospodarstw chłopskich (bez produkcji Państwowych Gospodarstw Rolnych):

Rok	Wartość w mld. zł bież.
1947	ok. 839
1948	„ 930
1949	„ 1.100

W przeciwieństwie do lat przedwojennych temu wzrostowi wartości produkcji rolnej towarzyszy zahamowanie przeludnienia wsi.

Dzięki rozwojowi przemysłu od roku 1947 cały przyrost naturalny wsi odpływa obecnie do zajęć nierolniczych, a cyfra ludności rolniczej utrzymuje się stale na poziomie ok. 12.5 miliona osób.

Decydująca ofensywa na przeludnienie wsi rozpocznie się w okresie Planu Sześcioletniego, kiedy to do zajęć nierolniczych odpłynie **przeszło półtora miliona** osób.

Jeśli przypomnimy sobie lata przedwojenne 1931 — 1937, kiedy wartość produkcji rolnej spadła z 8,2 mld. zł na 5 mld. zł, a ludność rolnicza (mimo emigracji) wzrosła o 2 miliony osób, to zrozumiałym jest dla każdego, jak wielkimi sukcesami może się poszczycić polityka Polski Ludowej na odcinku poprawy położenia ludności wiejskiej.

Ten stały wzrost wartości produkcji rolnej przy zahamowaniu przeludnienia wsi oznacza poważny wzrost zamożności ludności wiejskiej. W roku obecnym wartość produkcji rolnej w przeliczeniu na głowę ludności rolniczej (wyrażona w cenach 1937 r.) jest już **dwa i pół razy wyższa** niż w r. 1945, a o 15 proc. większa niż przed wojną.

Na te sukcesy złożyły się zarówno wzmożona aktywność społeczna i gospodarcza mas chłopskich, jak i troskliwa opieka rządu ludowego, który w formie kredytu, elektryfikacji, wzrostu produkcji nawozów sztucznych, importu inwentarza żywego, wzrostu produkcji maszyn i narzędzi rolniczych, stałych cen, usuwania zbędnego pośrednictwa handlowego itp. — spieszy z roku na rok z coraz wydatniejszą pomocą wsi.

2. KTO SIĘ SZYBCIEJ BOGACI?

Ten wzrost zamożności wsi napawałby każdego wielką radością, gdyby nie jeden ujemny fakt.

Na wsi w warunkach drobnotowarowej i kapitalistycznej gospodarki dorabiają się zawsze szybciej bogacze wiejscy, a nie mało i średniorolni chłopi.

Szereg lat urodzajnych przyniósł największe korzyści elementom kułackim, wzmocniły się one gospodarczo, nagromadziły poważne kapitały: mogą nimi manewrować na rynku.

Rzecz jasna, że w państwie ludowym zmniejszyło się poważnie otwarte całkowicie przed wojną pole do wyzysku biedniejszej części wsi przez bogaczy wiejskich, ale nie znikło całkowicie. Rozwój handlu państwowego i spółdzielczości wiejskiej, trudności przy nabywaniu ziemi i uniemożliwienie rugowania z niej małorolnych chłopów, rozwój państwowych i spółdzielczych ośrodków maszynowych, rozrost kredytów rolniczych, stosowanie umów zbiorowych przy pracy najemnej w rolnictwie itp. poważnie ogranicza, choć nie usuwa jeszcze całkowicie, możliwości spekulacji i wyzysku stosowanego przez kapitalistyczne elementy wsi.

Nie należy przeceniać siły bogaczy wiejskich, ale nie wolno ich niedoceniać. W roku np. 1948 gospodarstw rolnych prywatnych o przychodowości ponad 100 q żyta było — 182 tysiące, w r. 1949 — 397 tysięcy.

Widać stąd jak na dłoni, że drobnotowarowa gospodarka chłopa rodzi stale i wciąż nowych kapitalistów.

3. SPEKULACYJNA DZIAŁALNOŚĆ BOGACZY WIEJSKICH

W roku 1949 już dwa razy tyle bogaczy wiejskich posiadało z samej tylko produkcji roślinnej (nie licząc dochodu z hodowli zwłaszcza bydła rogatego) dochód brutto wartości ponad 100 q żyta.

W związku z tym wzrosła w r. 1949 więcej niż dwukrotnie siła nabywcza elementów kapitalistycznych wsi.

Odbija się to na sytuacji materialnej klasy robotniczej i mało oraz średniorolnych chłopów. Bogacze wiejscy konsumują w roku obecnym o wiele więcej mięsa i tłuszczu, z krzywdą mas pracujących, przechwytują cały szereg deficytowych jeszcze na wsi artykułów przemysłowych: jak papa, smoła, cement, skóra ,materiały budowlane itp., przyczyniając się do spekulacji tymi artykułami.

Korzystają oni z każdej okazji, z każdej przejściowej trudności w uspołecznionej gospodarce, aby spekulować raz na maśle, którego cenę windują do 1000 zł na wolnym rynku (we wrześniu b. r.), drugi raz na ziemniakach, których cenę w większych miastach wyciągnęli na wolnym rynku powyżej 1000 zł, próbują spekulować również, (choć tu mają o wiele mniejsze możliwości) przy obrotach pszenicą i jęczmieniem (stąd przejściowy brak kasz, jaki od czasu do czasu nawiedza wielkie miasta) itp

4. ŹRÓDŁEM WYZYSKU KAŻDY DUŻY MAJĄTEK

Żaden duży majątek nie powstał nigdy z pracy i oszczędności właściciela, a zawsze z wyzysku cudzej pracy. Powszechna pogarda dlatego otacza bogaczy wiejskich, że są wyzyskiwaczami.

Kłamliwa, szeptana propaganda bogaczy wiejskich (czujących swe zasłużone odosobnienie), że państwo ludowe patrzy krzywym okiem i na średniorolnych chłopów, którzy z własnej pracy mają jaki taki dobrobyt — coraz bardziej wyśmiewana jest na wsi.

Nikt nie zalicza do bogaczy i nikogo nie kole w oczy zamożność ob. Stanisława Mazura, który posiada 8 ha ziemi w pow. wągrowskim (woj. poznańskie), 2 konie, 3 krowy, kilka sztuk trzody chlewnej. Przeciwnie, ob. Mazur jako pierwszy chłop w Polsce, za piękne wyniki swej uczciwej racjonalizatorskiej pracy (568 q buraków cukrowych z ha!) otrzymał wysokie odznaczenie — order Budowniczego Polski Ludowej.

Państwo ludowe otacza bowiem opieką mało i średniorolnych chłopów i chce, aby osiągali oni dzięki własnej pracy, coraz wyższy dobrobyt. Nie może jednak i nie będzie tolerować wyzysku cudzej pracy i spekulacji.

5. TRZEBA ZMUSIĆ BOGACZY WIEJSKICH DO PŁACENIA ZOBOWIĄZAŃ WOBEC PAŃSTWA

Bogacze wiejscy wyzyskując biedniejszą część wsi, spekulując na rynkach, jednocześnie uchylają się od świadczeń na rzecz dobra ogólnego, pragnąc w ten sposób wszystkie ciężary, związane z koniecznością rozbudowy całego naszego gospodarstwa narodowego, przerzucić tylko na barki klasy robotniczej i pracującego chłopstwa.

Nie wolno do tego dopuszczać. Chłopi mało i średniorolni winni w każdej wsi dopilnować, aby przede wszystkim bogacze wiejscy spłacali te wszystkie zobowiązania, jak podatek gruntowy, składki na Fundusz Oszczędnościowy Rolnictwa, składki ubezpieczeniowe itp., które na nich ciążą.

Należy również poruszyć opieszałych płatników, spośród pracujących chłopów, aby również swe niewielkie zaległości wobec Skarbu Państwa regulowali, gdyż każde opóźnienie wpłat, nawet niewielkich sum, pociąga za sobą poważne szkody w całej gospodarce i opóźnia rozwój gospodarczy i kulturalny mas pracujących.

Nieprawdą jest, że powinności wsi wobec Skarbu Państwa przekraczają zdolność płatniczą drobnych i średnich gospodarstw chłopskich.

Wszystkie zobowiązania wsi (podatek gruntowy i FOR, składki ubezpieczeniowe, wpłaty na Fundusz Ziemi, zwrot kredytów siewnych z lat ubiegłych itp.) nie przekraczają 10 proc. wartości produkcji rolnej i są niższe niż obciążenia klasy robotniczej.

Tak samo coraz więcej chłopów rozumie, że kraj nie może przejeść wszystkiego, co wyprodukował, że każdy, bogaty więcej, biedny mniej, musi część swych dochodów oddać na cele ogólne, na rozbudowę naszego gospodarstwa narodowego, aby wszystkim ludziom pracy było za rok lepiej i lżej żyć.

6. SPRAWIEDLIWA POLITYKA PODATKOWA

Czy naprawdę w Polsce Ludowej biedny płaci mniej, niż bogaty?

Przyjrzyjmy się tej sprawie, na przykładzie podatku gruntowego i FOR.

1) **2.135 tys. gospodarstw** (57 proc. ogólnej liczby gospodarstw) o przychodowości do 40 q żyta płaci podatku gruntowego przeciętnie mniej niż 943 zł z ha.

2) **926 tys. gospodarstw** (25 proc.) o przychodowości od 40 do 80 q żyta płaci około **2.000 zł z ha.**

3) **258 tys. gospodarstw** (7 proc.) o przychodowości od 80 do 100 q żyta, płaci podatku gruntowego i FOR około **4.800 zł z ha.**

4) **397 tys. gospodarstw** (11 proc.) o przychodowości powyżej 100 q żyta płaci podatku gruntowego i FOR około **7.500 zł z ha.**

Więcej więc niż połowa ogólnej liczby gospodarstw płaci podatku gruntowego rocznie mniej niż równowartość 50 kg żyta z ha, czwarta część równowartość około 100 kg żyta z ha, a tylko jedna dziesiąta część chłopów w Polsce płaci więcej niż równowartość 200 kg żyta z ha.

Narzekania, jakie się gdzieniegdzie na wsi słyszy z powodu nadmiernych jakoby obciążeń wsi, pochodzą jedynie i wyłącznie od małej, 10 proc. ogólnej liczby chłopów, stanowiącej, grupki bogaczy wiejskich, których państwo ludowe ograniczyło w wyzyskiwaniu biedniejszej części wsi.

Czas już wielki, aby bogacz przestał wydawać opinie w imieniu całej wsi.

Władza na wsi we wszystkich organizacjach społecznych i politycznych musi przejść w ręce bezrolnych, mało i średniorolnych chłopów i tylko oni mają wydawać opinie o potrzebach, bolączkach i możliwościach wsi.

A wroga klasowego, którego chciwość jest główną przeszkodą na drodze do szybkiego wzrostu dobrobytu i kultury podstawowych mas chłopskich — trzeba okiełznać i ograniczyć jego wpływy polityczne, gospodarcze i społeczne.

Nowy ustrój rodzi się w atmosferze walki z kapitalistycznymi elementami wsi, a nie w atmosferze ulegania im.

Stanisław Cieślak

ŁUKASZ KURDYBACHA

KLER PRZECIWKO KOMISJI EDUKACYJNEJ

Całkowite zeświecczenie oświaty polskiej, dostosowanie jej do obowiązujących *wówczas* form ustrojowych i celów politycznych państwa nastąpiło *jednak nie przez Szkołę Rycerską, lecz* przez powołanie do życia w 1773 r. Komisji Edukacji Narodowej. Jako instytucja wybierana przez sejm i działająca pod nadzorem króla, była Komisja Edukacji pierwszą w Europie państwową władzą oświatową, która obalała wszystkie przywileje Kościoła w tej dziedzinie i objęła niepodzielne zwierzchnictwo nad całym wychowaniem młodzieży. Jej ustanowienie zamknęło ostatecznie w Polsce przedłużające się średniowiecze i rozpoczęło epokę świeckiej oświaty nowożytnej. Pod zarząd Komisji Edukacji oddano bowiem „wszystkie generalne akademie, gimnazja, kolonie akademickie, szkoły publiczne, żadnych nie wyłączając, z tym wszystkim, co tylko do wydoskonalenia nauk i ćwiczenia w nich młodzi szlacheckiej ściągać się może". W ten sposób zrealizowano zasadę, że „w każdym państwie edukacja do rządu stosowną być musi koniecznie" — jak twierdził Stanisław Staszic i zajęto stanowisko, że nie Kościół, lecz „rząd narodowy ma moc i prawo użycia obywateli do dobra ojczyzny i do niego należy różne przepisywać obywatelom życia sposoby".

W oparciu o te teoretyczne założenia przeprowadziła Komisja Edukacji gruntowną reformą całego społeczeństwa. Po ogłoszeniu jej Ustaw

Grzegorz Piramowicz

Ignacy Potocki

Hugo Kołłątaj

Stanisław Staszic (1755 — 1826)

w 1783 r. znikł ostatecznie ze szkół polskich kosmopolityzm kościelny, a jego miejsce zajęła kultura narodowa.

Pogardzany i lekceważony przez szkolnictwo kościelne język polski stał się językiem wykładowym na wszystkich stopniach nauczania. Łacina zeszła do roli jednego z języków; nauczano jej w podobnym zakresie jak języka francuskiego czy niemieckiego, a nawet jeszcze mniejszym, bo ograniczonym do rozumienia autorów klasycznych. Cały program nauczania był tak ułożony „aby młódź nabywała na wiek dalszy potrzebne światła, które by ją kierowały w życiu publicznym i prywatnym do zupełnego wykonania tego, co powinien człowiek, chrześcijanin i obywatel, aby sobie i drugim stał się pożytecznym". Dążenie do użyteczności nauk musiało oczywiście wyrugować dawny, pozaziemski cel wychowania. Znikł on nawet z nauki religii. Komisja Edukacji podkreślała z naciskiem, że religia nie może się ograniczać wyłącznie do praktyk kościelnych i platonicznej miłości Boga, lecz musi dbać o wypełnienie obowiązków człowieka na ziemi, o jego uczciwy stosunek do bliźnich i do pracy. Na przyzwyczajanie zaś młodzieży do pracy zwracała Komisja baczną uwagę. Chcąc przełamać w społeczeństwie zakorzenioną od czasów saskich skłonność do bezczynności, do składania pomyślnych i nieprzyjemnych zdarzeń życiowych na karb woli boskiej czy zrządzenia opatrzności, polecała tłumaczyć młodzieży, że „człowiek sobie wszystko, a kto inny nic mu nie winien, że sam starać się powinien o dobre mienie swoje, że pierwszym obowiązkiem człowieka jest pracować, gdyż tylko przez pracę staje się użyteczny".

Celem ułatwienia wychowankom pożytecznej w ówczesnych warunkach pracy wprowadziła Komisja Edukacji, do programu szkoły średniej naukę rolnictwa, ogrodnictwa i wiadomości o zwierzętach domowych, polecała uczyć fizyki i chemii, szczególnie zaś tych ich działów, które mogły przynieść realny pożytek w praktycznym życiu. W trosce o podniesienie przemysłu polskiego uwzględniła w programie mechanikę oraz hydrostatykę z zastosowaniem ich do budowy fabryk, i młynów wodnych; tym samym celom miała służyć geometria i architektura, zarówno wojskowa jak i cywilna. Ze względu na konieczność przygotowania młodzieży szlacheckiej do życia publicznego umieszczono w programie naukę prawa narodów, ustawodawstwa polskiego i lekturę gazet, która do dzisiaj spełnia ważną rolę przy nauczaniu Polski współczesnej. Gdy porównamy ten program z którąkolwiek szkołą, zależną od Kościoła, zrozumiemy najlepiej jak wielkie znaczenie zarówno dla dalszego rozwoju nauk jak i życia publicznego miało upaństwowienie oświaty w Polsce.

Komisja Edukacji Narodowej powołana zasadniczo do przebudowania i nadzorowania szkolnictwa dla młodzieży szlacheckiej, poświęcała wiele wysiłków organizowaniu oświaty dla chłopów i mieszczan. Nie mając jednak na ten cel żadnych funduszów, musiała się przez długi czas ograniczać do apelów duchowieństwa, aby organizowało przy kościołach szkoły parafialne. W wyniku tej akcji w 1777 r. a więc w cztery zaledwie lata po powstaniu Komisji było już przeszło 300 szkół dla ludu, kształcących przeszło 5.000 dzieci. Po raz pierwszy w dziejach Polski dopuszczono do szkół elementarnych dziewczęta, którym Kościół zamykał dostęp do dobrodziejstw oświaty. Ponieważ jednak apele do sumienia i dobrej woli duchowieństwa nie dały spodziewanych wyników, Komisja Edukacji Narodowej przeprowadziła w 1789 r. ustawę nakazującą proboszczom pod karą pieniężną „chowania przy każdej parafii bakałarza, dla dania przynajmniej początkowej nauki młodzieży czytania, pisania i rachowania". Specjalne Komisje miały dopilnować wykonania tej ustawy. Dzięki niej szkolnictwo elementarne weszło istotnie w ostatnich latach istnienia Rzeczypospolitej szlacheckiej na nowe drogi rozwoju.

Aby kler, zmuszony do utrzymywania szkół elementarnych nie prowadził ich wedle własnego uznania, Komisja Edukacji wydała Elementarz dla szkół parafialnych narodowych, uchodzący za jedno z najbardziej udanych dzieł pedagogicznych. Oparte na tym elementarzu nauczanie straciło całkowicie swój dawny, kościelny charakter. Miejsce niezrozumiałej łaciny zajął język polski, naukę ministrantury zastąpiła umiejętność dostosowywania pomiarów pola, a recytowanie Psalmów, zasady higieny. Pojawiali się też coraz częściej świeccy nauczyciele, przygotowani do zawodu w utrzymywanych przez Komisję Edukacji seminariach dla szkół średnich i parafialnych.

Komisja Edukacji Narodowej powołana przez władze świeckie dla objęcia w imieniu państwa kierownictwa nad oświatą i wychowaniem nie mogła oczywiście znaleźć uznania i poparcia władz kościelnych. Papież Klemens XIV wysyłając do Polski w 1773 r. zarządzenie o zniesieniu jezuitów, polecał ówczesnemu nuncjuszowi w Warszawie Józefowi Garampiemu, aby zarząd nad majątkami jezuickimi oddał biskupom, nie troszcząc się zupełnie o los szkół, prowadzonych przez Towarzystwo Jezusowe. Gdyby Stanisław August nie powstrzymał wykonania tych instrukcyj Watykanu, oświata w Polsce znalazłaby się w zupełnej ruinie. Uniknęła jej jedynie dzięki temu, że Stanisław August przygotował w największej tajemnicy projekt powołania państwowej władzy wychowawczej. Kiedy Garampi dowiedział się przez swoich szpiegów o planie królewskim, rozpoczął energiczne starania dla zabicia inicjatywy w zarodku. Nie wahał się nawet zwrócić o pomoc do ambasadora carowej Katarzyny, Stackelberga. W porozumieniu z nim i przy pomocy zręcznie rozsiewanych plotek, że Stanisław August po objęciu zwierzchnictwa nad oświatą, będzie dążył do władzy absolutnej, doprowadził do tego, że plan stworzenia Komisji Edukacji Narodowej omal nie upadł. Uratowała go ostatecznie zręczna taktyka króla. Gdy projekt uchwalenia państwowej władzy oświatowej pojawia się na sejmie, zaskoczony nuncjusz usiłuje przy pomocy opłaconych przez siebie posłów przeforsować uchwałę odraczającą na nieokreślony czas sprawy wychowania młodzieży. Ponieważ Stackelberg poparł inicjatywę króla, sejm uchwala powstanie świeckiej władzy oświatowej wbrew intrygom Garampiego i jego polskich przyjaciół.

Mimo przegrania sprawy na sejmie, Garampi nie rezygnuje z dalszych wysiłków, mających na celu zapewnienie Kościołowi wpływu na oświatę kierowaną przez Komisję Edukacji Narodowej. Domaga się natarczywie od króla, aby sejm uchwalił dodatkowo konstytucję upoważniającą biskupów do swobodnego wizytowania szkół, nakazującą każdemu nauczycielowi składać co rocznie wyznanie wiary na ręce odpowiedniego biskupa i gwarantującą seminariom duchownym zupełną niezależność od Komisji Edukacji. Ponieważ jednak król nie kwapi się z uwzględnieniem tych postulatów, Garampi opracowuje chytry plan opanowania całego szkolnictwa od dołu przez powierzenie wszystkich obowiązków nauczycielskich zakonnikom. Wobec tego, że Komisja Edukacji walczy z trudnościami finansowymi, nuncjuszowi udaje się stosunkowo łatwo zasugerować jej własny projekt oparcia szkół na nauczycielach zakonnych. Na prośbę Komisji Edukacji przesyła Garampi w styczniu 1774 r. cały plan do Rzymu. Później jednak nasuwają mu się różne wątpliwości, zwłaszcza kiedy się orientuje, że Komisja Edukacji będzie żądała od zakonów bezwzględnego wykonania jej przepisów szkolnych, nie pozwoli im na nauczanie w duchu poleceń kościelnych. Watykan jednak nie znający dokładnie całej sprawy, odnosi się przychylnie do projektu i zatwierdza go w sierpniu 1774 r.

Fakt ten nie rozwiązuje jednak zagadnienia. Garampi bowiem w liście okólnym dołączonym do zarządzenia papieskiego uzależnił nauczanie zakonników od tylu różnorodnych warunków, że w rezultacie niewiele tych klasztorów zgłosiło gotowość prowadzenia szkół. Komisja Edukacji upominała się daremnie do 1777 r. wydania przez nuncjaturę formalnego nakazu klasztorom przeznaczenia części zakonników do pracy oświatowej wedle jej przepisów. Gdy wreszcie apel do Rzymu nie wydał rezultatów, Komisja Edukacji zrezygnowała ostatecznie ze współpracy z zakonami i przystąpiła do wychowania świeckich nauczycieli.

Stały niepokój nuncjatury wywoływały tworzone przez Komisję Edukacji Narodowej nowe zasady wychowania. Garampi pragnąc zapewnić Kościołowi wpływ na pracę oświatową, wysłał do Komisji Edukacji w 1774 r. obszerny memoriał, w którym udawadniał, że religia powinna być głównym celem wszystkich wysiłków wychowawczych. Komisja jednak pominęła milczeniem jego wystąpienie. Wobec tego Garampi śledzi podejrzliwie dalsze jej poczynania, a nieufność jego pogłębiają eksjezuici, którzy przy różnych okazjach nadsyłają mu memoriały wskazujące na rzekome zaniedbania religijne w organizowanych przez Komisję szkołach.

Nieufność tę przejął od Garampiego w 1776 r. jego następca w Warszawie Jan Archetti, który odegrał poważną, choć niechlujną rolę w dziele reformy Uniwersytetu Krakowskiego. Komisja Edukacji Narodowej zrezygnowawszy ostatecznie w 1776 r. z pierwotnego zamiaru założenia w Warszawie l'Université Poloniatovienne, poleciła Kołłątajowi opracować szczegółowy projekt uzdrowienia starej uczelni krakowskiej. Ponieważ na czoło projektu wysunęła się sprawa niezbędnych funduszów, król na prośbę Komisji Edukacji wysłał prośbę do papieża o zniesienie zakonu miechowitów i przeznaczenie jego majątków na rzecz Uniwersytetu krakowskiego. Watykan po zbadaniu sprawy zaproponował zamiast kasaty miechowitów zmuszenie wszystkich zakonów w Polsce do opłat na utrzymanie Uniwersytetu. Obawiając się jednak pod wpływem Archettiego, że Komisja Edukacji będzie się kierowała przy reformie świeckimi potrzebami Polski zażądał od niej szczegółowych planów reformy. Komisja przedkłada w 1779 r. wspomniany już projekt Kołłątaja, który proponował zorganizowanie w Krakowie 5 wydziałów z nowożytnymi katedrami jak prawo natury, historia prawa polskiego, prawo międzynarodowe, języki nowożytne, weterynaria, chemia, fizyka itp.

Drażliwy i o niezwykle ciasnych horyzontach Archetti ustosunkował się do tego projektu wręcz wrogo. Twierdził on, że wiele katedr nowożytnych jest zupełnie niepotrzebnych, gdyż wystarczą podręczniki, a stanowisko profesorów na wszystkich wydziałach z wyjątkiem medycyny proponował powierzyć zakonnikom. Ponadto Watykan pod jego wpływem żądał od Komisji Edukacji Narodowej zobowiązania, że wszyscy profesorowie będą katolikami i każdy z nich będzie przed objęciem wykładów składał wyznanie wiary, że podręczniki będą dostosowane do dogmatów katolickich i że Polska wyda zakaz młodzieży polskiej wyjeżdżania na studia do zagranicznych uniwersytetów protestanckich. Ponieważ Komisja z obawy przed zbyt wielką zależnością Uniwersytetu Krakowskiego od czynników kościelnych takiego zobowiązania nie dała, Archetti tak przewlekał sprawę przyznania Uniwersytetowi funduszów zakonnych, że Komisja ostatecznie z nich zrezygnowała i przeprowadziła reformę własnymi środkami.

Niechęć Watykanu i nuncjatury warszawskiej do świeckiej oświaty, kierowanej przez Komisję Edukacji Narodowej znajdowała żywy oddźwięk w konserwatywnym obozie polskiego kleru. Rozszerzał on ustawicznie pogłoski, że wychowanie w świeckich szkołach Komisji Edukacji zdemoralizuje zupełnie polską młodzież, że straci ona wiarę w Boga lub przejdzie na wyznanie heretyckie. Znając przywiązanie wychowanej przez jezuitów szlachty do łaciny, zwolennicy szkolnictwa jezuickiego twierdzili, że nowe szkoły obniżają poziom umysłowy młodzieży, ponieważ bez języka łacińskiego nie można być naprawdę wykształconym. Największe zastrzeżenia i ataki wywoływały wprowadzone przez Komisję, a nieunormowane przez szkolnictwo kościelne nauki przyrodnicze. Zwalczano je przy pomocy argumentów, że są one wymysłem diabła lub też opierają się na czarach. Byli jezuici, zatrudniani przez Komisję Edukacji na stanowiskach nauczycieli, pragnąc wpoić uczniom przekonanie, że nauki przyrodnicze są niepotrzebne, udawadniali np. cytatami z Pisma Św. rozszerzanie się ciał pod wpływem ciepła. Inni znowu dążąc do ośmieszenia w opinii publicznej nauki zoologii, uczyli, młodzież przez cały rok takich zagadnień, jak np., że pies biały jest lepszy do pilnowania bydła, a czarny do strzeżenia domu, całymi miesiącami powtarzali elementarne wiadomości o chowie gołębi lub rozstrząsali kwestię jaki wół nadaje się do pracy. W wyniku takiego nauczania, rodzice twierdzili słusznie, że jest ono stratą czasu i oburzeni zabierali chłopców do domu. O to właśnie byłym jezuitom i innym wrogom świeckiej oświaty chodziło.

Byli jezuici i zacofany kler polski zwalczał też, nie przebierając w środkach, świeckich nauczycieli wychowywanych przez Komisję Edukacji Narodowej. Wyśmiewano ich nowoczesną wiedzę, rozszerzano pogłoski o ich nieuctwie, szydzono z ich świeckiego stroju, nazywano ich lokajami. Rodzicom wmawiano, że szerzą oni demoralizację wśród młodzieży, ponieważ zapraszają panienki na kawę i chodzą na publiczne spacery.

W wyniku takiej propagandy frekwencja młodzieży w szkołach Komisji Edukacji malała z roku na rok. Powstawały natomiast, mimo ostrych zakazów państwowych, tajne szkoły klasztorne, w których po dawnemu nauczano łaciny i wychowywano wedle znanych nam kościelnych metod. „Wszystkie zalecenia — pisał w 1786 r. jeden z wizytatorów Komisji Edukacji — mało co mogą, pokąd przesądy duchowieństwa o dzisiejszej edukacji nie ustaną i powagą zwierzchności duchownej uchylone nie będą. Nasze bowiem duchowieństwo, tak świeckie jak i duchowne, największą sprawuje przeszkodę do zaludniania szkół publicznych, gdy albo samo albo przez organistów i dyrektorów najemnych utrzymuje przy kościołach i klasztorach dawny sposób uczenia... Rektorowi zaś lub prorektorowi, gdy się kiedy wydarzy odwiedzić którą szkołę, albo go rządca kościelny nie przypuści do wizyty, grożąc mu jeszcze strasznym sądem Boga za zepsutą w kraju edukację przez nowo wynaleziony sposób uczenia, albo go tylko grzecznością odbędzie". Nic dziwnego, że po szeregu latach tego rodzaju propagandy obałamucona szlachta zaczęła się domagać przywrócenia zakonu jezuitów.

Wszystkie jednak intrygi, oskarżenia i ataki nie złamały Komisji Edukacji Narodowej. Działalność jej przerwała wprawdzie konfederacja targowicka, ale zrealizowana przez nią po raz pierwszy w dziejach Polski idea świeckiej oświaty pod zarządem państwowym zapuściła w narodzie tak silne korzenie, że we wszystkich zaborach w XIX w. była myślą przewodnią każdej inicjatywy oświatowej.

Łukasz Kurdybacha

STANISŁAW MARCZAK-OBORSKI

WŚRÓD JANKÓW

70 km. do Warszawy, przy szosie radomskiej jest wieś Falęcice. W tej wsi małe, 4,5 hektarowe gospodarstwo ma Jarosz. Ma też syna — Jóźka. Jest jeszcze dwóch synów i córka, ale ci rozproszyli się po świecie. Jarosz nie może pracować ma dopiero 58 lat, ale jest słaby, bolą go krzyże — „to po wojnie" — powiada. Pole uprawia sąsiad, potem razem zbierają — dzielą się po połowie. Jarosz mieszka z żoną w jednej nędznej izbie w oborze; dom wykańcza — buduje go już trzy lata i brak pieniędzy nie pozwala na skończenie. Zabudowania położone są na wzniesieniu, w dole w parokilometrowej odległości płynie Pilica.

Józiek od maleńkości miał zamiłowanie do grania. „Już się tak urodził na muzykanta" — powiadają o nim. Jeszcze nie umiał dobrze mówić, a już żądał, aby sprzedać przypadające na niego hektary i uczyć go za to muzyki. Gdy był malutki — ojciec robił mu harmonię z papieru — i tak grał „na niby". W czasie wojny siostrę wywieźli Niemcy na roboty do Prus — przywiozła stamtąd zgrabną harmonię Huberta. Mały nauczył się bardzo szybko sam grać. Potem przez jedne wakacje jeździł na rowerze do oddalonej o 6 km. wsi do skrzypka, który pokazywał mu nuty. Kiedyś Józiek zrobił kawał nauczycielowi. Wymyślił sam nowy „utwór", zapisał go i zawiózł nuty. „Mam nowy kawałek!". Nauczyciel zagrał, pochwalił, ale kiedy Józiek powiedział mu, że to jego kompozycja — zgniewał się i nie chciał grać tego więcej.

Chłopak grywał kolegom, w domu, na wieczorkach szkolnych. Na zabawach po wsi nie miał chęci grywać. „Byle łajza się upije i będzie mi urągać" — mawiał.

Matka była przeciwna jego zamiłowaniu. „Zostanie muzykantem, rozpije się, zbałamuci". Zapisała go do szkoły rzemieślniczej. Józiek nie chciał tam pójść — musiała jeździć jeszcze raz odbierać dokumenty. Ojciec sprzyjał chłopcu: „muzykant, jeśli jest człowiek akuratny, co sobie wypije to wypije, a pieniądz potrafi uszanować i wyjdzie na ludzi". Przypomniał sobie, że zna niejakiego Kowalczyka, który ma brata, grającego na oboju w najważniejszej orkiestrze w Warszawie. Kiedyś stojąc przy niedzieli koło obejścia, zobaczył znajomka. Zgadali się. Oboista zgodził się przesłuchać Józka. Pochwalił jego zdolności, dopomógł mu dostać się do Państwowej Średniej Szkoły Muzycznej. Chłopak zdał egzamin celująco.

„Może i dojdzie do czego, byle spokój był na świecie" — powiada ojciec.

JANKO - MUZYKANT ZOSTAŁ JUNAKIEM

Część uzdolnionej młodzieży skierowano do orkiestry „Służby Polsce".

Zajął się nią serdecznie kapitan Jan Otów, kierownik zespołów muzycznych przy komendzie Głównej S. P. Kapitan jest kompozytorem, dyrygentem, gra na skrzypcach, klarnecie i akordeonie. Sam osiągnął awans społeczny dzięki Demokracji Ludowej. Przed wojną marzył nieśmiało, aby choć jeden jego utwór był wykonany w radio. Dzisiaj przeszło dwadzieścia jego marszów i piosenek nagranych jest na płyty i wykonywanych w licznych audycjach. Otów pochodzi z Suwalszczyzny znad jeziora Wigry. Zbierał melodie ludowe z tam tych okolic, niezwykle piękne a prawie zupełnie nieznane w kraju. Chętnie udostępniłby je do ilustracji muzycznej filmu.

W dziele wyławiania talentów wiejskich kpt. Otów współpracuje z L. Kurkiewiczem, Dyrektorem Państw. Średniej Szkoły Muzycznej.

Kurkiewicz jest chłopem z pochodzenia. Sam przeszedł mozolną drogę: od wiejskiego grajka do profesora konserwatorium (gry na klarnecie). Rozumie dobrze dążenia swoich uczniów. Jest aktywistą partyjnym, inicjatorem akcji konkursów.

— Junacy ze „Służby Polsce" grają w dużym, liczącym około 100 osób zespole instrumentów dętych. Orkiestra jest dobra, bierze udział w uroczystościach państwowych i młodzieżowych. Jest wyekwipowana w nowe instrumenty sprowadzone z Czechosłowacji. Junacy uczą się grać w godzinach wolnych od zajęć, najzdolniejsi z nich skierowani będą do konserwatorium.

Obok orkiestry dętej istnieje jeszcze drugi zespół muzyczny przy Kom. Gł. S. P., produkujący się w radio, w licznych instytucjach i zakładach pracy, popularny już dziś nie tylko w Warszawie, ale i na krańcach Polski. Kapelmistrzem tego zespołu jest 25-letni Ireneusz Łojewski.

LOS IRENEUSZA ŁOJEWSKIEGO

Krajobraz jezior augustowskich — jeden z najpiękniejszych w Polsce, kraj pięknej a zapoznanej pieśni ludowej.

Nad jeziorem krechowieckim — mały chłopak, jedynak, syn skromnego urzędnika drogowego, jako mały szkrab, w wieku przedszkolnym, dostał od ciotki skrzypce. Wiedział co to orkiestra i marzył o własnym zespole muzycznym.

Sielskie dzieciństwo przerwała okupacja. W r. 1943 aresztowano rodziców. Musiał ukrywać się w lesie, wstąpił do partyzantki.

Zrobił dla oddziału „muzykę". Chytrze jakoś napięty drut, z prymitywnymi przyrządami i menażką w roli rezonatora. Wydobywał z niego dźwięk podobny gitarom hawajskim i cieszył się aplauzem kolegów.

Kiedyś przyniesiono mu skrzypce; kiepskie a jeszcze bardzo zniszczone. Ale można było na nich grać. Kłopot tylko z kalafonią. Cały oddział rozbiegł się szukać jej w okolicy. Nigdzie ani śladu. Był jednak wśród nich pewien quasi-farmaceuta, ponoć z apteczną praktyką. Ten właśnie z przetopionej i odpowiednio spreparowanej żywicy zrobił nienajgorszą w tych warunkach kalafonię.

Robili akcję na jakiegoś agenta. W mieszkaniu zastrzelonego był akordeon — piękny, okazały, wymarzony. Nie wzięli go jednak. Nie potrafili.

O śmierci rodziców w więzieniu powiedział mu kolega: „nie ma sensu ukrywać tego przed tobą, musisz to znieść jak mężczyzna".

Wkrótce było po wojnie. Skończył się las, zaczęła się Łódź. Dostał się do Ludowego Instytutu Muzycznego. Bieda, małe możliwości. W gabinecie dyrektora usłyszał o zamkniętym konkursie na opracowanie muzyczne popularnej melodii: „Skowroneczek śpiewa". — „Czy mógłbym wziąć udział?" — zapytał odważnie.

— Ty? — zdziwił się dyrektor, obrzucając drwiącym spojrzeniem mizeraka w wytartej kurtce. „Możesz" — zakpił.

A jednak rzecz zakończyła się sukcesem. Dano mu możliwości stworzenia zespołu muzycznego. Nie było to jednak ukoronowaniem dawnych snów, zespół był marny,

MIKOŁAJ OSTROWSKI

Przekład E. Słobodnikowej

JAK HARTOWAŁA SIĘ STAL*)

Jesienny deszcz chlustał w twarz. Nisko nad ziemią pełzły ciemnoszare, nabrzmiałe wilgocią chmury. Późna jesień ogołociła leśne hufce, nasępili się wiekowi starcy — graby, chowając zmarszczki kory pod brunatnym mchem. Bezlitosna jesień zerwała z nich wspaniałe szaty i stały teraz nagie i wynędzniałe.

Samotnie wśród lasu przykucnęła mała stacyjka. Od murowanego placyku na towary odchodził w głąb lasu pas rozkopanej ziemi. Niczym mrówki oblepili go ludzie.

Lepka glina ohydnie mlaskała pod butami. Ludzie z zawziętością krzątali się przy nasypie. Głucho zgrzytały żelazne drągi, łopaty skrobały kamień.

A deszcz siał przez drobne sito i zimne krople przenikały skroś odzież. Deszcz zmywał pracę ludzi. Niczym gęsta kasza spełzała glina z nasypu.

Jakże ciężka i zimna jest przemoczona do ostatniej nitki odzież, lecz ludzie porzucali pracę dopiero późno wieczorem.

I z każdym dniem pas zrytej i spulchnionej ziemi coraz głębiej i głębiej wrzynał się w las.

Niedaleko od stacji ponuro garbi się murowany szkielet budynku. Wszystko, co dało się wypatroszyć, zdjąć lub zerwać, — wszystko to dawno zagrabiła ręka marudera. Zamiast okien i drzwi — otwory, zamiast drzwiczek przy piecach — czarne dziury. Przez szpary zerwanego dachu widać żebra krokwi.

Ostała się jedynie betonowa podłoga w czterech obszernych pokojach. Na niej kładło się nocą czterystu ludzi w ubraniu przemoczonym do nitki i oblepionym błotem. Ludzie przed drzwiami wyżymali odzież, ściekały z niej brudne strumienie. Siarczyście klęli diabelny deszcz i błoto. Zwartymi rzędami kładli się na betonowej podłodze zlekka przyprószonej słomą. Ludzie starali się nawzajem ogrzać. Odzież parowała, lecz nie wysychała. A przez worki zawieszone na ramach okiennych sączyła się na podłogę woda. Deszcz bił gęstym śrutem w resztki żelaza na dachu, a w szpary drzwi dmuchał wiatr.

Rankiem pili herbatę w starym baraku, gdzie mieściła się kuchnia i udawali się na nasyp. Na obiad jedli zabójczą przez swą jednostajność postną soczewicę i półtora funta czarnego jak antracyt chleba.

To było wszystko, co mogło dać miasto.

Kierownik techniczny, suchy, wysoki starzec, z dwiema głębokimi bruzdami na policzkach — Walerian Nikodimowicz Patoszkin i technik Wakulenko, krępy, o mięsistym nosie na z grubsza ciosanej twarzy, ulokowali się w mieszkaniu naczelnika stacji.

Tokariew nocował w pokoiku czeisty stacyjnego Cholawy, krótkonogiego, ruchliwego jak rtęć.

Oddział budujący kolejkę z wściekłym uporem znosił wszelki niedostatek.

Nasyp z każdym dniem coraz dalej wgłębiał się w las.

Oddział liczył już dziewięciu dezerterów. Po paru dniach uciekło jeszcze pięciu.

Pierwszy cios spadł na budowę w drugim tygodniu: wieczorowy pociąg nie przywiózł z miasta chleba.

Dubawa zbudził Tokariewa i zakomunikował mu o tym.

Sekretarz kolektywu partyjnego spuściwszy na podłogę włochate nogi gniewnie poskrobał się pod pachą.

— Zabawa się zaczyna! — mruknął pod nosem szybko się ubierając.

Do pokoju wtoczył się jak kula Cholawa.

— Wal do telefonu i dodzwoń się do wydziału specjalnego, — rozkazał mu Tokariew. — Ty zaś, co do chleba, — uprzedził on jednocześnie Dubawę, — nikomu ani słowa.

Po półgodzinnym wymyślaniu telefonistom całej linii natarczywy Cholawa uzyskał połączenie z zastępcą naczelnika wydziału specjalnego, Żuchrajem. Słuchając jego wymysłów Tokariew niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

— Co? Chleba nie dostarczono? Zaraz się dowiem, czyja to robota,— z groźbą w głosie zahuczał w słuchawkę Żuchraj.

— Powiedz mi lepiej, czym jutro nakarmimy ludzi? — gniewnie krzyczał w słuchawkę Tokariew.

Żuchraj widocznie coś obmyślał. Po długiej pauzie sekretarz kolektywu partyjnego usłyszał:

— Chleb dostarczymy w nocy. Poślę z samochodem Litkiego, on zna drogę. Nad ranem chleb będzie już u was.

Skoro świt na stację zajechała obryzgana błotem ciężarówka naładowana workami z chlebem. Wysiadł z niej zmęczony i pobladły wskutek bezsennej nocy Litke — syn.

Walka o budowę kolejki zaostrzała się. Z zarządu kolei doniesiono: nie ma podkładów. W mieście nie znajdowano środków potrzebnych dla przetransportowania na budowę szyn oraz parowozików, a i same parowoziki wymagały poważnej naprawy. Pierwsza partia kończyła już robotę, a zmiany nie było. Zatrzymanie zaś wyczerpanych do cna ludzi wydawało się niemożliwością.

W starym baraku przy świetle kaganka do późnej nocy naradzał się aktyw.

Z rana pojechali do miasta Tokariew, Dubawa i Klawiczek, zabrawszy ze sobą jeszcze sześciu dla wyremontowania parowozików i dostawy szyn. Klawiczka jako zawodowego piekarza wydelegowano dla skontrolowania wydziału aprowizacyjnego, a pozostałych do Puszcze — ...dicy.

...deszcz wciąż lał.

Korczagin z trudem wyciągnął z ...kiego błota nogę i poczuwszy ...łód w stopie zrozumiał, że zgniła podeszwa buta zupełnie odpadła. Od samego przyjazdu tutaj wciąż cierpiał z powodu kiepskich butów, zawsze wilgotnych i mlaskających błotem; obecnie zaś jedna podeszwa zupełnie odpadła i gołą nogą stąpał po przenikliwie zimnej gliniastej kaszy. But czynił go niezdatnym do pracy. Wydobywszy z błota resztkę podeszwy Paweł spojrzał na nią z rozpaczą i złamał dane sobie samemu słowo, że nie będzie więcej klął. Z resztką swego buta poszedł do baraku. Usiadł obok kuchni polowej, odwinął zabłoconą onucę i przybliżył do piecyka zdrętwiałą na chłodzie nogę.

Na stole kuchennym krajała buraki Odarka, żona dróżnika, którą kucharz wziął sobie do pomocy. Natura nie poskąpiła bynajmniej nie starej jeszcze dróżnikowej swych darów: po męsku szeroka w ramionach, o atletycznym biuście i jędrnych potężnych biodrach, umiejętnie operowała nożem i na stole szybko rosła góra nakrajanych jarzyn.

Odarka obrzuciła Pawła lekceważącym spojrzeniem i nieżyczliwie zapytała:

— Cóż to, czy już na obiad dybiesz? Troszeczkę za wcześnie. Widać od roboty, chłopaczku, się wykręcasz. Gdzież ty nogi pakujesz? To przecie kuchnia, a nie żadna łaźnia — wzięła w obroty Korczagina.

Wszedł kucharz, człowiek w podeszłym wieku.

— But rozleciał mi się w kawałki — objaśnił obecność swoją w kuchni Korczagin.

Kucharz obejrzał sfatygowany but i kiwnął głową w stronę Odarki:

— Jej mąż jest po trosze szewcem, będzie mógł coś zaradzić, gdyż bez obuwia to klęska.

Słuchając słów kucharza Odarka przyjrzała się Pawłowi i trochę się zawstydziła.

— A ja miałam was za próżniaka — przyznała się.

Paweł uśmiechnął się pobłażliwie. Odarka obejrzała but doświadczonym okiem.

— Łatać go chłop mój nie będzie — to nic nie da, lecz żebyś nie pokaleczył sobie nogi, przyniosę ci stary kalosz, wala się u nas taki na strychu. Gdzież to widziane, by się tak mordować! Nie dziś to jutro weźmie mróz, a wtedy zginiecie — już współczująco mówiła Odarka i odłożywszy nóż wyszła.

Wkrótce wróciła z głębokim kaloszem i kawałkiem płótna. Gdy owinięta w płótno i ogrzana noga wsunęła się do ciepłego kalosza, Paweł z milczącą wdzięcznością spojrzał na dróżnikową.

Tokariew wrócił z miasta zirytowany, zwołał do pokoju Cholawy aktyw i podzielił się niewesołymi nowinami.

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się kręcą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wyłowili białych gagatków, aż do samej śmierci nie pozbędziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do luftu. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przyślą — jeszcze nie wiadomo. Mrozy za pasem. Do tego czasu choćbyśmy mieli skonać, musimy przejść przez błoto, gdyż potem to nawet zębami nie ugryziesz. A więc, chłopaki, w mieście weźmie się w karby tych wszystkich, którzy się pałętają, a my tutaj musimy podwoić szybkość. Pięć razy zdechnij, a odnoga musi być zbudowana. W przeciwnym razie jacy z nas byliby bolszewicy — sami mazgaje — mówił Tokariew nie swoim zwykłym ochrypłym basem, lecz natężonym stalowym głosem. Oczy jego błyskając spod nawisłych brwi mówiły o stanowczości i uporze.

— Dziś jeszcze odbędziemy tajną naradę, wytłumaczymy o co chodzi naszym ludziom i wszyscy zabierzemy się jutro do roboty. Rano odprawimy bezpartyjnych, sami zaś zostaniemy. Oto decyzja komitetu gubernialnego — wręczył on Pankratowowi złożony we czworo arkusz.

Przez ramię tragarza Korczagin przeczytał: „Uważać za niezbędne pozostawienie na budowie wszystkich członków komsomołu, zezwalając na zmianę nie wcześniej niż po pierwszej dostawie drew. Za sekretarza komitetu gubernialnego R. Ustinowicz".

W ciasnym baraku nie sposób przejść. Natłoczyło się w nim stu dwudziestu ludzi. Stali przy ścianach, ulokowali się na stołach i nawet kuchni.

Zagaił zebranie Pankratow. Tokariew mówił niedługo, lecz ostatnie jego słowa wszystkich zdruzgotały:

— Jutro komuniści i komsomolcy do miasta nie pójdą.

Ręka starca podkreśliła w powietrzu całą nieodwołalność decyzji. Gest ten zniweczył ich nadzieję na powrót do miasta, do swoich, na wydostanie się z tego błota. W pierwszej chwili nie można było nic zrozumieć z rozlegających się okrzyków. Od ruchu ciał niespokojnie zamigotał płomyk ślepawego kaganka. Mrok zasnuł twarze. Zgiełk wzmagał się. Jedni mówili marzycielsko o „przytulności domowego ogniska", inni oburzali się i krzyczeli, że są zmęczeni. Wielu milczało. I tylko jeden oświadczył, że zdezerteruje. Podrażniony głos z kąta rzucał na przemian z przekleństwami:

— Do jasnej cholery! Nie zostanę tu ani jednego dnia! Zsyła się ludzi na katorgę przynajmniej za jakieś przestępstwo. A nas za co? Trzymano nas dwa tygodnie — wystarczy. Nie ma durniów. Niech ten, co to postanowił, sam przyjedzie budować. Kto chce, niech w tym błocie się babrze, a ja mam tylko jedno życie. Jutro wyjeżdżam.

Okuniew, za którego plecami stał ów krzykacz, zapalił zapałkę chcąc zobaczyć dezertera. Zapałka na sekundę wydarła z mroku wykrzywioną ze złości twarz i otwarte usta. Okuniew poznał go: był to syn buchaltera okręgowej komisji aprowizacyjnej.

— Czemu się przyglądasz? Nie ukrywam się, nie jestem złodziejem.

Zapałka zgasła. Pankratow wyprostował się.

— Któż to tak rozpuścił pysk? Dla kogóż to polecenie partyjne jest katorgą? — przemówił głuchym głosem, wodząc po stojących blisko niego ludziach ciężkim spojrzeniem. — Chłopaki, do miasta wracać nijak na mnie wolno, nasze miejsce jest tutaj. Jeśli damy stąd drapaka, ludzie zamarzną. Chłopaki, im szybciej skończymy, tym rychlej wrócimy, a wiać stąd, jak chce tego jakiś tam mazgaj, nie pozwala nam ani nasza idea ani karność.

Tragarz nie lubił wielkich przemówień, lecz i to krótkie przerwał mu wciąż ten sam głos:

— A czy bezpartyjni odjeżdżają?

— Tak — odciął Pankratow.

Do stołu przecisnął się młodzieniec w krótkim palcie miejskim. Mała legitymacja niczym nietoperz wywróciła ponad stołem koziołka, odbiła się o pierś Pankratowa i upadła na stół na sztorc.

— Oto legitymacja, proszę, weźcie ją sobie. Dla takiego świstka tektury nie poświęcę zdrowia!

Koniec zdania zagłuszyły miotające się po całym baraku głosy:

— Czym się ciskasz?

— Ach, ty, sprzedajno duszo!

— Do komsomołu się wkręcił, dobrej posadki wypatrywał!

— My cię nauczymy, bakterio tyfusowa!

Ten, który rzucił legitymację, schylił głowę i przecisnął się ku wyjściu. Ustępowanu mu z drogi, jak zadżumionemu. Skrzypnęły zamykające się za nim drzwi.

Pankratow ścisnął palcami rzuconą legitymację i przytknął ją do płomienia kaganka.

Tektura zapaliła się zwijając w zwęgloną rurkę.

x) Mikołaj Ostrowski urodził się w 1904 r. Już jako chłopak piętnastoletni wstępuje do komsomołu i bierze udział w walkach z wrogami młodej republiki radzieckiej. Umiera w r. 1936 na skutek długotrwałej ciężkiej choroby, której nabawił się podczas wojny domowej.

„Jak hartowała się stal" jest powieścią autobiograficzną, aczkolwiek pisaną w trzeciej osobie. Nie jest to jakiś nieudolny pamiętnik, jakiego należałoby się spodziewać po człowieku, nie mającym nawet za sobą ukończonej dwuklasowej szkoły, który zaangażowany od wczesnej młodości w walce nie miał czasu na dokształcanie się. Powieść ta posiada świadoma konstrukcję dojrzałego już dzieła. Jeśli styl jej nie jest jak to się mówi zapięty na ostatni guzik, to jednak zdumiewa swoim żywym i barwnym językiem, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę, że, jak mówi o sobie w powieści na kilka lat przed zabraniem się do jej napisania, w artykule, który próbował po raz pierwszy w życiu napisać do gazety, było ponad trzydzieści usterek stylistycznych i masę błędów ortograficznych. Zabrał się wówczas do usilnej pracy nad sobą i żelazną wolą dokonał tego, że już będąc sparaliżowany i ślepy, napisał powieść, która dawała i w dalszym ciągu daje natchnienie młodzieży radzieckiej do pokonywania wszelkich trudności na drodze do zbudowania socjalizmu.

Z drukowanego poniżej fragmentu widać, z jakimi niesłychanymi trudnościami musiało borykać się pierwsze pokolenie komsomolców, odbudowujących kraj po zniszczeniach spowodowanych przez wojnę domową. W danym wypadku chodzi o jak najszybsze zbudowanie kolejki wąskotorowej, która miała służyć do przewożenia drew i żywności do Kijowa. Byli i tacy, którzy się załamali, lecz młodzież komsomolska nie cofnęła się przed żadnymi trudnościami i przez zbudowanie kolejki uratowała wówczas miasto od głodu i chłodu.

E. S.

W ZWIĄZKU RADZIECKIM

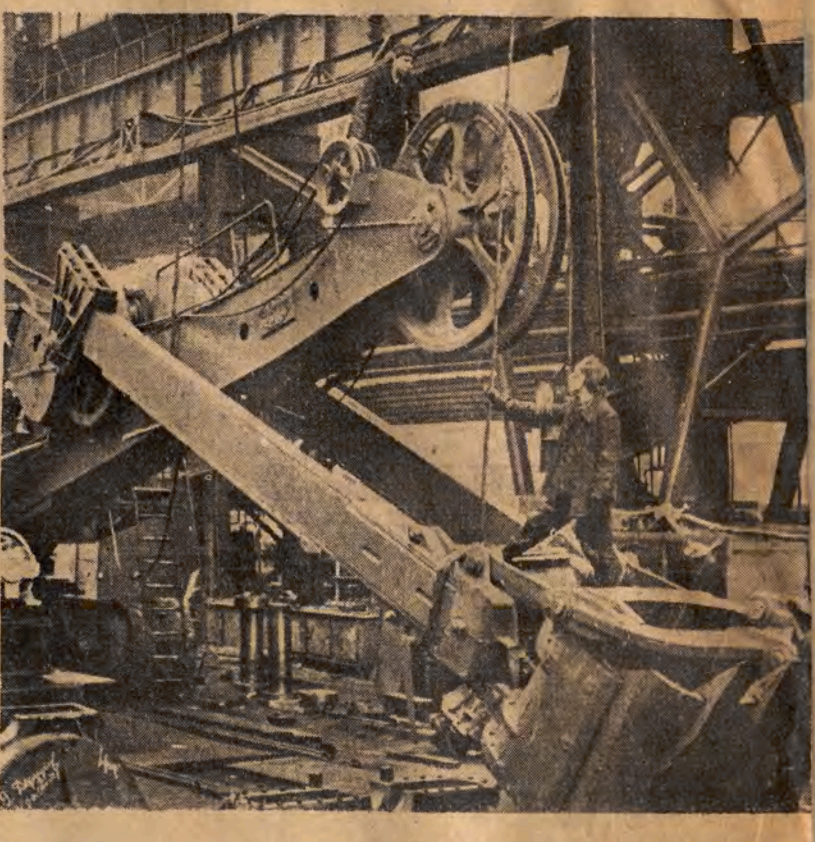

GUSTAW TOMALA

NA ZAPADŁEJ WSI

GDZIE JEST PRAWDA?

Wioska R. leży, jak informował mnie sceptyczny znajomek, na trochę podmokłym, gliniastym lecz dość urodzajnym gruncie. Do niedawna jeszcze nie można było przejechać przez wieś, w czasie ulewnych dni — nawet pustym wozem, koła wozów bowiem tak oblepiały się gliną, że już po kilkudziesięciu metrach przestawały się obracać, sunęły jak sanie.

Na środku wioski stał duży dom z szyldem sklepu spożywczego, w którym, jak dzień długi, siedzieli dawniej chłopi nad kartami lub przy wódce. Wieczorem natomiast przybywało tak wielu gości, że izby nie mogły wszystkich pomieścić.

Największy jednak ruch trwał prawie każdego wieczoru przy tylnych drzwiach karczmy, gdzie tłusty właściciel ob. W. odbierał bez wagi od kilkunastoletnich chłopców skradzione przed chwilą ojcu lub sąsiadowi — zboże. Za „ćwiartkę" tj. 25 kg. żyta dawał pan W. jednego złotego, za ćwiartkę pszenicy dwa złote.

Ten potworny demoralizator i wyzyskiwacz „dorobił" się przez kilka lat tak dalece, że wystawił nowy ładny ośmiomieszkaniowy dom i kupił dwudziestomorgowe gospodarstwo.

Takie stosunki trwały do wojny, w czasie której pan W. nie miał szczęścia, bo został wywieziony do Niemiec, prawdopodobnie za udział w jakimś dużym handlu towarami mięsnymi, a ponętne jego gospodarstwo zagarnął Niemiec.

NOWA WIEŚ

Po odzyskaniu niepodległości znalazło się we wsi kilku byłych partyzantów, którzy w szeregach drugiej armii W. P. brali udział w walkach z Niemcami, o Drezno, Budziszyn, Pragę. C. bojowcy po powrocie do wioski zaczęli myśleć — o podniesieniu życia w gromadzie na wyższy szczebel. Wyłożyli oni swój program otwarcie wszystkim mieszkańcom wsi, zdobywając od razu kilkunastu zwolenników. Jednak znaleźli się i tacy, którzy sądzili, że zacofana wieś nie da przebudować się na lepsze. A jeżeli — mówili — porwałby się na to ktoś, to nie wcześniej jak za czterdzieści, a może nawet i pięćdziesiąt lat. Ci obywatele wyjechali dla „lżejszego chleba" na Ziemie Odzyskane. Jednak pozostali ideowcy zabrali się ochoczo do pracy. Pierwszym ich czynem było wybudowanie przez wieś szosy.

Praca szła żwawo, szybko. Wśród pracujących widać było zapał, i nie spotykany dotąd entuzjazm, poczucie własnej siły. Toteż w niespełna dwa lata wybudowano przez wieś szosę i doprowadzono ją do szosy wojewódzkiej. W tym samym czasie otwarto pierwszą w gminie spółdzielnię ZSCh. Umieszczono ją w dawnym sklepie pana W. Spółdzielnia ta zyskała sobie szybko uznanie nie tylko miejscowych, ale i okolicznych rolników, którzy chociaż mieli sklepy prywatne w swoich wioskach, to jednak we wszystkie towary zaopatrywali się do czasu otwarcia własnych filii spółdzielczych wyłącznie w tej spółdzielni. Ambitni działacze postanowili zradiofonizować swoją gromadę. Gospodarze przyklasnęli projektowi, dali chętnie kilkuset złotową składkę z hektara, pomagali jeszcze przy pracach przygotowawczych i w rezultacie we wsi zagrały po raz pierwszy głośniki. I po tym nie spoczęto na laurach. Znów zawrzał we wsi ruch, zaczęto zwozić do wsi cement i zaprawiać go. Z cementu zbudowano mocne płyty, którymi wyłożono przez całą wieś chodniki. Dziś w wiosce tej nie „topią" się już ani wozy, ani ludzie. Dla wozów służy twarda szosa, dla pieszych betonowe chodniki...

Wieś ta dzisiaj odznacza się wysokim poziomem uspołecznienia i upolitycznienia mieszkańców. Wiedzą oni czym jest dla nich ludowy, demokratyczny rząd Polski, jakie są jego osiągnięcia i zamiary.

Wiedzę tę pogłębiają jeszcze ciągle książki i czasopisma. Z tych ostatnio licznie prenumerowane są: „Chłopska Droga", „Gromada", „Zielony Sztandar" i „Rolnik Polski". Tu i ówdzie da się również zauważyć: „Trybunę Wolności", oraz „Wieś" i „Pokolenie". Czasopisma są tak rozpowszechniane, że nie ma gospodarza umiejącego czytać, który by nie prenumerował jednego z pism. Jest jednak wielu prenumerujących dwa, trzy, a nawet cztery pisma. Specjalnym zainteresowaniem cieszą się wśród nich działy: polityczny, gospodarczy, a także „listy ze wsi", czy też „czytelnicy piszą". Nie gorzej rozwija się też czytelnictwo książek. Miejscowy punkt biblioteczny, wymieniający co miesiąc 80 do 100 książek — ma 60 czytelników zarejestrowanych. Jednak każda wypożyczona książka czytana jest w domu kilka razy, tak że czytelników niezarejestrowanych jest kilkakrotnie więcej... Mocno postawiona jest także sprawa kształcenia młodzieży...

MŁODE POKOLENIE

Przed 39 r. przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego wyszło ze wsi do szkół średnich tylko czterech zamożniejszych synów chłopskich. Wyszło powiadam, bo wieś nie miała z nich najmniejszego pożytku. Jeden został oficerem, drugiego wuj oddał do seminarium duchownego, trzeci był naczelnikiem urzędu pocztowego koło Kowla, no i czwarty, mój znajomek, dobry rodak bo od 1945 r. nie był w swojej wiosce i nie tylko nie pomaga jej, ale nie wie nawet, jak ona żyje, jak się rozwija... Oprowadzając go w tym roku po wiosce pokazałem mu w pierwszym rzędzie świetlicę.

Mieści się ona w budynku sklepikarza W., który nie powrócił już do wioski. Wewnątrz zastaliśmy kilkanaście osób zajętych bądź to czytaniem gazet, bądź książek lub słuchających radia! Na stołach widzimy: „Wieś"; „Pokolenie"; „Nową Wieś"; „Dziennik Łódzki"; „Przyjaźń"; „Gromada"; „Zielony Sztandar" i „Rolnika Polskiego". Na ścianach barwnie ubrane portrety dostojników państwowych i napisy z hasłami: „Niech żyje przyjaźń polsko - radziecka"; „Niech żyje demokratyczny blok pokoju" i inne. W rozmowie z kierownikiem świetlicy, młodym nauczycielem, tutejszym rodakiem — dowiedziałem się, że szkoły średnie i zawodowe ukończyło ogółem z tej wioski szesnaście osób, a osiemnaście kształci się dalej. Z tych szesnastu trzech pracuje jako nauczyciele. Czterech jest ślusarzami w fabrykach, dwóch pracuje w miejscowej spółdzielni, jeden w zarządzie gminnym, a pozostałych sześciu pracuje w różnych urzędach. Wszyscy oni utrzymują kontakt z gromadą i pomagają w jej organizowaniu.

Spośród kształcącej się młodzieży większość uczęszcza do szkół zawodowych, a to do szkoły przemysłu metalowego i drzewnego oraz do szkoły rolniczej. Tam uczą się młodzi chłopi nowych zawodów i życia społecznego. Miejscowi nauczyciele prowadzą znów kursy przysposobienia rolniczego i kursy dla analfabetów...

Tak więc wspólnymi siłami w przeciągu czterech lat z wioski zacofanej uczyniono wioskę światłą, przodującą. W miejscach gdzie kilka lat temu panoszyło się pijaństwo, rozpusta połączona z najordynarniejszym wyzyskiem — dziś kwitnie, oświata, kultura prowadząca do lepszej przyszłości, do dobrobytu.

Prawda, że i dziś jeszcze zdarzają się fakty, że ten lub ów chłopiec zmusi ojca do wydawania mu „ćwiartki" zboża, lub wynajmie swe siły jakiemuś bogatszemu gospodarzowi, ale wiecie na co przeznacza te pieniądze: na książki i gazety...

A wiecie, czego w czytaniu szukają?

Marks pisał o wsi w kapitalistycznym ustroju — „parcela, chłop i rodzina: obok inna parcela, inny chłop i inna rodzina. Kopa tego stanowi wieś, a kopa wsi jest departamentem". Z takich wiosek składały się nasze powiaty, województwa. Taką drobną wioską była też wieś R. Siedzieli w niej jeden obok drugiego chłopi. Siedzieli i „gospodarowali" na swych małych parcelach. Rodziny ich zwiększały się, parcele stawały znów węższe, brakowało chleba, a wprowadzenie wyższych form gospodarki na indywidualnych parcelach było wprost niemożliwe, dlatego drobno i średniorolni chłopi popadali w coraz to większą nędzę.

Niejednokrotnie zmuszeni byli sprzedawać, lub wydzierżawiać bogatym gospodarzom swe parcelki, a sami iść do służby. Biedniak tracił więc wszystko — bogacz zyskiwał, to już była walka klasowa.

— My jednak nie mogliśmy temu przeciwdziałać — mówią chłopi z R. — bo nikt nie dbał o nasze życie, rząd też nie był nasz. Byliśmy mu obcymi. Dziś jednak jest inaczej. Rząd jest nasz, opiekuje się nami, dlatego przy jego pomocy wyzwolimy się spod jarzma wyzyskiwaczy i zaczniemy żyć lepiej.

A młodzi mówią jeszcze inaczej: po co ogólniki „o życiu lepiej", my wiemy, jaka jest droga do lepszego i zaczynamy na wsi długie, szczegółowe dyskusje nad spółdzielnią produkcyjną. Przekonamy.

Gustaw Tomala

W. Bielow w roli Miczurina

WACŁAW ŚWIERADOWSKI

„CZARODZIEJ SADÓW"

REWOLUCJONIZUJE PRZYRODĘ

Na ekrany kin polskich wprowadzono obecnie film, który obok niezaprzeczalnych walorów ogólnych posiada specjalne wartości poznawcze dla widza wiejskiego. Film ten wejdzie do głównego programu kin objazdowych, spełniając w ten sposób doniosłą rolę kulturalno-oświatową. Mam na myśli film o Miczurinie w reżyserii A. Dowżenki.

Film „Miczurin" to nie tylko biografia wielkiego samouka-biologa, to przede wszystkim lekcja nowego, rewolucyjnego poglądu na przyrodę, na świat.

Do czasów rozpowszechnienia nauki miczurinowskiej istniał pogląd, że natura jest niezmienna, że cechy poszczególnych gatunków przechodzą dziedzicznie z ojca na syna, że żadne dociekania naukowe, odkrycia, wynalazki nic nie zdołają zmienić w ustalonym od wieków trybie natury.

Główna część życia Miczurina przypada na okres powolnego konania caratu. W tych warunkach było niemożliwością, aby prosty chłop, na niewielkiej zagrodzie, z niewielkim także sadem, mógł zwrócić na siebie uwagę swymi doświadczeniami. Ludzie „z towarzystwa" kpili z Miczurina, a przedstawiciele duchowieństwa wyśmiewali i potępiali jego naukę.

Mimo to Miczurin niezrażony trwał przy swych doświadczeniach.

Film „Miczurin" rozpoczyna scena, w której dwaj uczeni amerykańscy, zainteresowani publikacjami na temat odkryć Miczurina, proponują mu odkupienie ziemi wraz z sadem" i stworzenie dla niego w Stanach Zjednoczonych „okolic, przypominających jego kraj rodzinny" — byle tylko z nimi pojechał.

Miczurin jest jednak nie tylko rewolucjonistą w nauce, ale i prawdziwym rewolucyjnym patriotą. Nie sprzeda się w niewolę kapitałowi amerykańskiemu, nawet za najbardziej kuszące obietnice. Nie opuści kraju, mimo, że kraj ten traktuje go po macoszemu.

Miczurinowi nie zabrakło odwagi wytrwania aż do Wielkiej Rewolucji Październikowej, która radykalnie zmieniła jego życie. Teraz doświadczenia Miczurina, wyśmiewane przez sługusów cara, stały się potrzebne do planowej polityki gospodarczej Związku Radzieckiego.

Miczurin to nie tylko czarodziej sadów. Przy pomocy odważnych szczepień osiąga nie tylko nowe, wspaniałe, mrozoodporne gatunki jabłek czy gruszek. Miczurin stwarza także gatunki zboża, które odznaczają się krótkim okresem dojrzewania. Można je hodować nawet na terenach daleko wysuniętych na północ. Tereny pszeniczne, tereny uprawy żyta przestają być ograniczone. Wszędzie, gdzie jest z i e m i a, może rosnąć zboże!

Miczurin po Rewolucji pracuje w wielkim laboratorium, z roku na rok posuwa się drogą rewolucyjnych doświadczeń naukowych. Gromadzi uczniów i entuzjastów, zapowiada dalsze olbrzymie osiągnięcia w dziedzinie wykorzystania naturalnych sił przyrody. Mimo to nie przestaje być skromnym człowiekiem.

Miczurin gorąco kochał swój kraj, oddał mu cały swój talent, wiedzę. Związek Radziecki ocenił wybitne zasługi Miczurina, który otaczany był stałą opieką i pomocą Lenina, Stalina, Kalinina.

Miczurin samym sobą udowodnił, jak olbrzymie talenty drzemią w ludzie rosyjskim. Dzisiaj młodzież Związku Radzieckiego uczy się w setkach wyższych uczelni, studiując między innymi i rozwijając doświadczenia i osiągnięcia Miczurina.

Aleksander Dowżenko, opierając się na materiałach z życia Miczurina, zrealizował nim film barwny. Kinematografia barwna jest jakby specjalnie predestynowana do tego rodzaju filmów. Przyroda żyje na ekranie w najpiękniejszych, naturalnych barwach.

Dubbing (podkład dialogowy) polski, wykonany celowo głównie z myślą o kinach objazdowych, jest poprawny. W każdym razie celowość polskiego podkładu w filmach przeznaczonych przede wszystkim dla wsi, nie budzi żadnej wątpliwości.

Wacław Świeradowski

STANISŁAW ORZEŁ

WIEŚ - BUDZI SIĘ!

Odgrodzona od świata „bielonymi płotami", zamglona oparami domowego wyrobu bimbru z czasów okupacji, wieś budzi się do nowego życia — tężyzny fizycznej i moralnej. Sport wszedł do wsi szeroko otwartymi wrotami. Powitała go młodzież nieśmiało, starsi drwinami, zaśniedziali kibice miasteczkowi — złośliwym uśmiechem i dowcipami.

...Bo i gdzie ...kto to widział... Chłop do pługa stworzony, do cepów, a tu nagle sportu mu się zachciało! Kto dawniej o tym myślał, komu się chciało takimi rzeczami zajmować.

Niedziela — wiadomo: we wsi granie ze składkowych pieniędzy się odbywało. Wódka musiała być ze sprzedanej po kryjomu ćwierci ojcowego żyta, a że nożem ten, czy ów po żebrach dostał — toć to junactwem i ich chłopską odwagą było. Piłka nożna czy biegi uchodziły w samej wsi za dziwactwo, wariactwo prawie. Nie było na to czasu — był śmiech i wstyd fałszywy.

Aż nagle wieś się przebudziła! Sodoma i Gomora!

Wydeptane nieużytki pastwisk gminnych grodzić poczęto. Zasypano doły, rozrzucono kretowiska, ustawiono „jakiesić" bramki. Rozpoczęła się gra w piłkę nożną — w przedwieczerza, w dni wolniejsze od pracy, całe popołudnia w niedziele czy święta.

Wszystko odbywało się prawidłowo. Wąsate dryblasy kopały zawzięcie, częściej co prawda w ziemię, w kostki kolegów a rzadziej w piłkę, ale szło co raz lepiej. Stateczni gospodarze, zapominając o swojej powadze „ryczeli" razem z gromadą dzieci:

— Pietrek, nie daj się! Wal! Wal gola! Gola! Gola!

Bywało, że Pietrek zamiast gola walił Michała i już nie w kostkę a pięścią w oko. Jednak każdy następny mecz gromadził tłumy i był co raz lepszy. Najgorszym było tylko to, że zawodnik, ojciec dzieciom i mąż żonie — za rozwalone buty, czy pęknięte świąteczne spodnie dostawał w domu „gola" wałkiem od niewyrozumiałej połowicy. Od tego się zaczęło. Potem przyszły buty, koszulki sportowe, spodenki, a potem zaprosili tych z Wólki, aby się „spróbować" ...I sędzia był, i z miasta przyszli — i wkroczył do wsi sport.

W blaskach przedwieczornego słońca prostują się zgarbione pracą ramiona, prężą nogi w wyciągniętym biegu: — to wieś wygrywa swój bieg do sportu, do zdrowia. To już nie wstyd, nie żart — a entuzjazm.

Warto z nią biec naprzełaj przez powiat tarnobrzeski, rozsiadły w widłach Wisły i Sanu. Biedota folwarczna Mokrzyszowa, Miechocina, Zakrzowa, nędzą piasków karmiona — Żupawa. Stale. Jeziórko, bagnami pocięte wsie nadsaneckie — razem 70 ludowych zespołów ruszyło do biegu na swoich boiskach. Dzięki Woj. Radzie Sportu Wiejskiego sprzętu jest dość w powiecie, ale nie wszędzie są jeszcze ludzie, którzy mogliby pouczyć, pokazać młodym wiejskim sportowcom, jak zdrowie rozwijać a nie niszczyć na boiskach, których powiat posiada aż: 64 dużych, 64 siatkowych i 16 koszykowych. 52 zespoły wiejskie piłki nożnej rozgrywają mecze między sobą. I miasto z wiślanego brzegu — Tarnobrzeg — otwiera bramy swojego stadionu dla gości ze wsi lub wysyła swoją narazie „C" klasową drużynę na wsie. Wąsaci widzowie stawiają zakłady, zachęcają do wysiłku... lo to i wstyd przegrać... i przecie chłopoki ...nie dajta się na drugi roz... Tak! Nie dajta się!

I znika kłamstwo, że młodzież wiejska zaciężka jest do sportu. Dowiodły tego mistrzostwa Polski w biegu na przełaj, które odbyły się w Białymstoku w dniu 9 października b. r. Wicemistrzynią Polski w biegu na przełaj na 2.500 m. została Jajkiewicz Maria z Ludowego Zespołu Sportowego. A jej koleżanka Styczyńska Helena zajęła III miejsce. Syn małorolnego chłopa z Chmielowa również z powiatu tarnobrzeskiego Jan Pyszka zajął 4-te miejsce w biegu na 7.000 m, ulegając mistrzowi Polski Kielarzowi, Krausikowi, oraz Biernatowi.

Biegną młodzi! A wieś patrzy, dziwuje się, jest dumna!

Stanisław Orzeł

WŁADYSŁAW LESZCZYŃSKI

CZESKIE FILMY

W ramach tygodnia filmów czechosłowackich, przypadającego na koniec września, ujrzeliśmy świeżą i najświeższą produkcję sąsiedniej kinematografii. Zarepreznowano dziewięć pozycji: „Milcząca barykada", „Wilcze doły", „Jan Rohacz z Dube", „Sumienie", „Żelazny dziadek", „Awantura na wsi", „Pan Nowak", „500 cmm"', i „Odział Z—8".

Dwa pierwsze filmy dotyczą okresu okupacji, trzeci ukazuje fragment historii piętnastowiecznych Czech, czwarty jest mieszczańskim dramatem psychologicznym, a pozostałych pięć kipi żywą współczesną problematyką.

I ta piątka (w tym trzy komedie), stanowi najcenniejszą pozycję festiwalu, właśnie ze względu na swoją żywotną, ogólnie interesującą tematykę.

Społeczna tematyka filmowa Czech do 48 roku mogłaby się powołać tylko na dwie pozycje: „Syrenę" i „Sępy". Jest to oczywiście bardzo niewiele przy wcale obfitej produkcji czeskiej, realizującej przeszło 30 filmów rocznie. Dopiero przełom lutowy wywołał zmianę w stosunkach, panujących w upaństwowionej kinematografii.

Przemiany polityczne szczęśliwie zapoczątkowały aktywizację filmu społecznego w Czechosłowacji.

Komedia Bożywoja Zemana „Pan Nowak" godzi w ograniczonych, zbiurokratyzowanych urzędników, którzy, żywiąc bałwochwalczą cześć dla rzekomo wysoko intelektualnych walorów biurowej roboty — nie dostrzegają twórczej i myślącej pracy robotnika w fabryce. Po przewrocie lutowym w 48 roku przemysł czechosłowacki zaczął cierpieć na olbrzymi niedostatek siły roboczej, która natomiast nieproduktywnie zalegała biura, urzędy i instytucje. Rząd rzucił hasło translokacji nadmiaru elementu urzędniczego do fabryk i zakładów pracy. Hasło to zaszokowało dużą część konserwatywnej inteligencji, upatrującej w pracy fizycznej degradację i wyjałowienie umysłowe. Film umiejętnie pokazuje, jak rozbijają się uprzedzenia i nawyki myślowe urzędników w zetknięciu z pracą w fabryce, jak wytwarza się współżycie z robotnikami, jak z czasem niesforny i nieporadny element urzędniczy zajmuje pożyteczne miejsce w procesie produkcyjnym i jak kształtuje w sobie nową socjalistyczną świadomość.

Doskonała komediowo „Awantura na wsi" obrazuje na przykładzie toczącego się na wsi sporu o kupno pralni mechanicznej — rodzące się socjalistyczne, czynniki przebudowy wsi w kierunku nowoczesnej, postępowej gospodarki. Film, szczególnie nadający się na wieś, niewątpliwie zawita do niej w ramach akcji kina objazdowego. Filmowi temu należy zarzucić zbyt słabe podkreślenie klasowego rozwarstwienia wsi.

„500 cmm" i „Oddział Z — 8" przenoszą nas na teren fabryki, w środowisko robotnicze. Pierwszy relacjonuje historię współzawodnictwa fabryk motocyklowych, pokazuje zapał i twórczą zgodną współpracę ekipy techniczno - inżynierskiej i robotniczej. Wymieniony film jest artystycznie najsłabszy z pięciu wyróżnionych, na co wpłynęła może reżyseria Fricza, autora nieszczęsnego, mocno bzdurnego, „Pocałunku na stadionie".

„Oddział Z-8" opowiada o walce z sabotażem i wrogiem klasowym na terenie fabryki.

„Żelazny dziadek", z b. dobrym aktorem Jarosławem Marwanem w tytułowej roli, ukazuje w sposób bardzo sympatyczny i wzruszający przywiązanie starego maszynisty do swego warsztatu. Zagrożony emeryturą przełamuje piętrzące się przeszkody i wraca do ulubionej pracy. Wielki talent Marwana potwierdza się jeszcze raz w tym filmie

Omówione filmy w zadawalający często wzorowy sposób odpowiadają zamówieniom na „film społeczny" o tematyce współczesnej.

Z pozostałych „Milcząca barykada", film niewątpliwie o dużych ambicjach, próbujący przedstawić majowe dni powstania praskiego 45 roku — raczej zawodzi. Winę ponosi scenariusz, opierający się na kilku opowiadaniach Drdy, w scenariuszu mało powiązanych ze sobą. Akcja filmu wskutek tego jest rozbita i fragmentaryczna. W filmie gr Polka, Barbara Drapińska, bohate ka „Ostatniego etapu" — rolę s dentki polskiej z oświęcimskiego koncentraku. Waga i znaczenie jej udziału i postaci w powstaniu (gdzie urasta przecież do miar symbolu) wydają się nieco in plu przerysowane.

„Wilcze doły", film o powstaniu słowackim, obok dużych zalet — jak pełne rozmachu ujęcie kilkutygodniowej walki zbrojnej z hitlerowskim okupantem i znakomita fotografia — posiada i poważne błędy. Opowiada o zbyt wielu rzeczach jest nieco przydługi i nużący oraz grzeszy nieuzasadnionym artystycznie nagromadzeniem okropności, które rażą widza. A przecież takie filmy, jak „Ostatni etap" czy „Rzym miasto otwarte", pokazały, że dla przedstawienia okrucieństwa Niemców niekoniecznie trzeba robić z f mu makabrę.

„Jan Rohacz z Dube", historyczny film kolorowy z okresu wojen husyckich, podobnie jak „Milcząca barykada", mocno akcentuje momenty przyjaźni polsko - czechosłowackiej. Posiada znakomite sceny batalistyczne; ujmuje trafnie wybranym fragmentem historii Czech. Walki penetracją germańską, popierani przez magnaterię i wyższy kle [illegible] mu wspomagane przez pols [illegible] skim i żywotnym. „Jan Rohacz" je pierwszym kolorowym filmem czeskim, od samego startu o dużych walorach barwy.

Ostatni film „Sumienie", reprezentujący niemałe wartości aktorskie i reżyserskie, utrzymany jest wyraźnie w konwencjach mieszczańskich. Wytknęła to surowo kinematografii czeskiej polska krytyka filmowa.

Festiwal filmów czeskich udowodnił, że kinematografia naszego sąsiada i sprzymierzeńca znajduje się na dobrej, socjalistycznej drodze.

Władysław Leszczyński

DZISIAJ INACZEJ...

Siedzę na ławie przed domem. Jest pora obiadowa, więc trzeba chwilę odpocząć. Drogą idzie Stach Góra odświętnie ubrany, choć dzień jest powszedni. Podchodzi do mnie — uśmiechnięty. Trochę skonfudowanym głosem prosi, abym wydał mu zaświadczenie o ilości posiadanej przez jego ojca ziemi. Zaciekawiło mnie to i pytam, do czego mu takie zaświadczenie potrzebne. — Odpowiada, że wyjeżdża razem z Grudniem Zygmuntem i Glancem Mańkiem do Szkoły Budowlanej. Kiedy to usłyszałem, pytam na jak długo i ile miesięcznie będą płacili za pobyt w szkole (naukę i wyżywienie), ciekawi mnie to, bo wiem, że rodzice wszystkich trzech, ze względu na swe małe gospodarstwa nie mogą sobie pozwolić na wysoką opłatę. Stach uśmiechnął się wyrozumiale, powiedział:

Szkoła ma trwać dwa lata, a później jak będzie mi dobrze szło — to jeszcze dwa lata liceum. A co do opłaty to wszystko na koszt Państwa, bo wysyła nas Komenda Powiatowa „Służby Polsce" w Radomsku. Nie mówiąc i nie pytając go o nic więcej poszedłem z nim do mieszkania i wypisałem kartkę następującej treści: „Zaświadcza się, że ob. Góra Jan zam. w Ulesiu posiada 3 ha ziemi ornej wraz z łąką i pastwiskiem. Na utrzymaniu ma 5 osób. Powyższe zaświadczenie wydaje się celem przedłożenia władzom Szkoły Budowlanej w Mławie". Położyłem pieczęć, i wręczając mu zaświadczenie powiedziałem — „chłopie nie zawiedź zaufania, jakim cię darzą władze powiatowe „S.P." no i my ze wsi".

— „Będę się starał jak do tej pory w organizacji".

Uścisnęliśmy sobie dłonie, wejrzeliśmy w oczy, i odszedł. Na piersi błysnął mu tylko znaczek Z.M.P. Widać było z oczu, że będzie się dobrze uczył w szkole, bo życie dotychczas miał twarde.

Zastanowiłem się chwilę nad chłopcami, którzy odchodzą dziś do szkoły. Z Ulesia uczy się ich już nie mała gromada.

Stach Siewek poszedł na ochotnika do oficerskiej szkoły, Grajów Heniek jest w szkole przemysłowej na 2-gim roku, w Kielcach w hucie „Ludwików", Płatek Maniek gdzieś tam na Śląsku uczy się za górnika już drugi rok, Tadzik Stępień, Wojdyło Stach, Smagów i inni w szkołach ogólnokształcących. Wszyscy oni uczą się prawie darmo, a ci „przemysłowcy" nawet jeszcze zarabiają gotówkę. Dawni ich poprzednicy mieli jedno tylko wyjście — do dworu tymowskiego na dniówkę, albo na „bańdochy". 13 lat temu i ja takim 17-letnim chłopcem byłem. Skończyłem „powszechniaka" i dalej ani rusz. Ale to nie tylko ja, bo wszyscy we wsi takimi samymi byli, bo trzeba by było na jeden rok nauki sprzedać ostatnią krowę i to by nie starczyło. A dalej?...

Cóż było robić! Zbieraliśmy się wieczorami na karty, czasem jak grosz wpadł na wódkę, a co tygodnia trzeba było wywołać awanturę, pobić komuś okna, kości porachować — jak się to mówiło itp. Dzisiaj inaczej!

Historia toczy się naprzód i już się nie powtórzy. My którzyśmy w koszmarnym okresie swoje lata młodzieńcze spędzali, dla których rozwój umysłu poprzez naukę był zamknięty, winniśmy dziś wyciągnąć wnioski i naukę na przyszłość. Jeszcze często słyszymy narzekania. — Narzekania może nawet nie są bez powodów to jest fakt, ale czy zastanawia się każdy z nas, jaki kolosalny skok jest zrobiony naprzód? — chyba nie, bo jeżeli byśmy analizowali osiągnięcia nasze, to byśmy chwilowe niedociągnięcia cierpliwie znosili, a usilnie pracowali nad ich usunięciem.

Dzisiaj należy się zastanowić jeszcze nad jednym: gdzie leży źródło tego, że nasi Stachowie, Mańkowie i inni mogą się spokojnie uczyć w szkole na przyszłych budowniczych Polski. Odpowiedź jest jedna i prosta. Źródłem osiągnięć naszej wszystkich wsi i całej Polski jest to, że kraj nasz wyzwoliła Armia Czerwona i to, że rozwija się przyjaźń radziecko - polska, którą winniśmy systematycznie pogłębiać i utrwalać, bo to jest fundament naszego dalszego marszu naprzód w rozwoju gospodarczym i kulturalnym, a pamiętajmy, że październik to miesiąc przyjaźni polsko - radzieckiej.

Marian Nowiński

FAKTY I ZDANIA

STWIERDZENIA I RADY

W 1946 roku wyszło w New-Yorku nowe wydanie słynnej książki Toqueville'a „Demokracja w Ameryce", z przedmową prof. F. Bradley. Książka została napisana między 1833 a 1840 rokiem, przedmowa — jak powiedziano — w 1946 roku.

Otóż prof. Bradley — dowodzi, iż Toqueville pomylił się twierdząc, jakoby Ameryce zagrażała w przyszłości „tyrania większości". Wręcz przeciwnie dowodzi, Stanami Zjednoczonymi kieruje dziś „zorganizowany i skoncentrowany nacisk specjalnej mniejszości, która dba przede wszystkim o swoje specyficzne interesy".

Dalej tenże autor przedmowy polemizuje z tezą o prawie równości w Ameryce, w którym Toqueville widział „podstawy stabilizacji i postępu społecznego, gwarancję przeciwko rewolucji". Ale o jakim równouprawnieniu można mówić w dzisiejszej Ameryce? — zapytuje prof. Bradley. Przeciwieństwa między nędzą i bogactwem zaostrzyły się w niemniejszej mierze niż w Europie.

W końcu szanowny profesor dowodzi, że jedyny ratunek może znaleźć imperializm amerykański w wierze (zapewne w dolar). Cóż można do tego dodać? Że dolarowa religia nie ratuje już kapitalizmu amerykańskiego przed kryzysem, mas — przed nędzą, a wasali Ameryki przed załamaniem gospodarczym.

K.

KSIĄDZ ZWOLENNIKIEM ANALFABETYZMU

Ksiądz P. stara się wszelkimi siłami, aby na wsi utrzymać jak najdłużej ciemnotę i zacofanie, bo wie, że ciemnego chłopa nie trudno wykorzystać.

Najpierw straszy go z ambony piekłem i diabłem za urządzanie zabaw po wykopkach w piątki, a następnie każe sobie przynosić „na ofiarę" nie tylko pieniądze, ale ziemniaki, żyto i inne produkty żywnościowe i zostawiać w kuchni na plebanii, gdzie stoją już specjalnie przygotowane skrzynie i worki.

Przy takiej „polityce" nie [illegible] go, że gdy zwrócił się do [illegible] kierownik szkoły, by ogł[illegible] ściele datę rozpoczęcia kursu dla analfabetów, ksiądz tak się kwasił, tak krzywił i odmawiał, aż wreszcie komunikatu nie ogłosił, ponieważ „nie wypadało".

Bez żadnego lęku i żadnych skrupułów natomiast ogłosił z ambony wiadomość, że rozpoczyna kopanie ziemniaków, i żeby ludzie przychodzili do niego kopać (odrabiać pańszczyznę — psiakrew!)

J - ki
pow. Wieluń

O ASPOŁECZNYCH KSIĘŻACH

Powiatowy Zarząd Z.S.Ch. w Legnicy pragnąc przyjść z pomocą kobietom wiejskim, mającym drobne dzieci zorganizował w okresie żniw kilka dziecińców.

Jeden z dziecińców miał być zorganizowany w budynku szkolnym. Ponieważ budynek szkolny wymagał wewnątrz remontu Instruktorka Koła Gospodyń Wiejskich zwróciła się do księdza, ażeby zezwolił na czas remontu urządzić dzieciniec w pustych pokojach niezamieszkałej (ksiądz mieszka w Legnicy) plebanii.

Ksiądz stwierdził, że sam w tej sprawie nie może decydować, musiałby zwrócić się o zezwolenie do księdza biskupa. Obecny przy rozmowie ksiądz wizytator z Wrocławia kategorycznie sprzeciwił się jednak jakimkolwiek na ten temat pertraktacjom.

Zapytuję, jak określić postawę tych dwóch księży, którzy co niedzielę głoszą słowa Chrystusa, a sami według nich nie postępują?!

Bronisław Marcinek
Legnica

SPROSTOWANIE

Do N-ru 45 wkradło się kilka błędów korektorskich: 1) pod artykułem „Wskazania na wczoraj, dzi i jutro" podpisano błędnie M. Ka[illegible]ari, 2) w tymże artykule podtytuł w szpalcie 4-ej winien brzmieć 23 września 1917 r.", 3) imię autora O latach i barwach" brzmi Juliusz, ie zaś Julian Fucznik.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, ul. Starynkiewicza Nr 7. Tel. Red. Nacz. 812-1. Tel. Redakcji 8-00-61 do 6, wewnętrzny 23 i 76. Wyd.: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ. REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH RĘKOPISÓW NIE ZWRACA.
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — WARSZAWA Starynkiewicza 7.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 80,— zł; kwartalnie 240,— zł; półrocznie 480,— zł; rocznie 960,— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I—68[illegible]1 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś".
Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd. Ośw. „Czytelnik", Marszałkowska 3/5.
B-90777

KOBIETY — BOHATERAMI PRACY W ZWIĄZKU RADZIECKIM